Nr 26 (1536). Warszawa, 25 czerwca 1910 r. **Rok XXX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

Szanownym prenumeratorom przypominamy o odnowieniu przedpłaty na 3-ci kwart.

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ludzie i stronnictwa.

Stronnictwa powstają, rosną, dojrzewają i więdną jak rośliny. Jest to przyrodzona kolej rzeczy i wszystko byłoby w porządku, o ileby one również przyrodzoną rzeczy koleją przed swym zamieraniem wydawały owoc, t. j. o ileby spełniły tę rolę polityczną, która stanowi ich rację bytu, w imię której do życia zostały powołane.

Niezmiernie często, u nas zwłaszcza, giną one śmiercią przedwczesną i nienaturalną, zasychają przed wykłosieniem, jak tegoroczne zboże nie wydając żadnego plonu.

Ledwie zjawiły się na widowni, ledwie zdobyły wpływ lub przewagę, ledwie zaświtała dla nich era pozytywnego czynu po okresie walki i opozycji — już padają ofiarą wewnętrznego rozkładu. Czyżby klątwa słowiańskiej nieprodukcyjności dotykała w Polsce nietylko jednostki lecz grupy?

Nic dziwnego, że w Królestwie Polskim, w tropikalnym klimacie ery rewolucyjnej z błyskawiczną szybkością wzrastały i ginęły potężne przez chwilę organizacje. Dużo tu można złożyć na karb wyjątkowych okoliczności zewnętrznych oraz na brak normalnego życia publicznego, gdyż w nim jedynie powstawać i dojrzewać mogą partje polityczne. Niezbędnym dla nich warunkiem rozwoju jest działanie; bezczynni nie istnieją; — jest to niewątpliwym w polityce pewnikiem.

Znacznie pomyślniejsze warunki trwałości i żywotności posiadają stronnictwa polityczne w Galicji i tam jednak ostatnie tygodnie ujawniły ich jałowość i bezpłodność, tym smutniejsze budząc refleksje, że przyczyny nie na zewnątrz leżą, lecz w jakiejś wewnętrznej wadzie organicznej, stanowiącej dla nich czynnik rozkładowy. Nieomal równocześnie dwa liczne i potężne stronnictwa odbyły tam swe wielkie rewje: narodowa demokracja i stronnictwo ludowe. Na pozór rezultaty tego przeglądu sił są wprost odwrotne: o rozłamie w narodowej demokracji rozpisuje się cała prasa, a równocześnie obwołuje tryumfy i potęgę stronnictwa ludowego. Bliższe wejrzenie jednak wykazałoby może, że mimo pozornych przeciwieństw istnieją bardzo blizkie analogje, że różnice są tu właściwie tylko różnicą czasu, czyli że to, co dziś zdarzyło się w narodowej demokracji, jutro może lub musi nastąpić u ludowców, o ile pozostaną oni na tej drodze, na której znajdują się obecnie.

Wielce niebezpiecznym przełomem dla każdej partji politycznej jest jej tryumf, chwila dojścia do władzy lub zdobycia decydującej przewagi. Mimo przeciwne pozory najłatwiejszą jest rola opozycji. Jej program pozytywny może być bezbrzeżny, póki nie poddany jest próbie eksperymentu. Nie będąc wykonywany nie potrzebuje się krępować granicami wykonalności. Program negatywny, zwalczanie panującej większości i istniejących stosunków, wymaga tak wytężonej akcji, że chroni ją od zastygania w bezczynności i gwarantuje jej żywotność. Wszędzie dzieje się tyle złego, że wszędzie rola malkontentów jest uzasadnioną i może być popularną.

O wiele trudniej jest w myśl swego programu działać niż krytykować; o wiele łatwiej sformułować to, czego nie chcemy, niż czego chcemy, a najtrudniej to, co chcemy — zrobić. Tylko takie stronnictwo,

które ma jasno określony i zdolny do realizacji program pozytywny a wiernie go się trzyma, może wyjść cało z ciężkiej próby własnego tryumfu.

Tylko takie, które walcząc nie widzi przed sobą przeciwnika lecz cel walki, umie wykorzystać odniesione zwycięztwo. Zbyt często — niestety — w zacietrzewieniu partyjnym, w rywalizacji wyborczej, w dążeniu do władzy zapomina się, o co się właściwie walczy. To też aż nazbyt często przełomy wewnętrzne nie wyrzucają na powierzchnię życia nowych kierunków lecz tylko nowych ludzi, a zmiana osób nie wywołuje niemal żadnych głębszych przeobrażeń w warunkach społecznego życia.

Najzupełniej uprawnionym dążeniem każdej partji politycznej jest zdobycie władzy i wpływu, lecz jest to tylko pierwszy etap, tylko warunek osiągnięcia celów dalszych t. j. urzeczywistnienia programu.

Bezprogramowość otwierając szerokie pole dla rozwinięcia wszelkich bez wyboru środków strategicznych przyspiesza zwycięztwo lecz czyni je bezowocnym. Szybkie i szerokie podboje narodowej demokracji znakomicie potwierdzają tę prawdę. Zmieniając hasła agitacyjne odpowiednio do czasu, okoliczności, środowiska, można zwerbować szerokie zastępy bardzo różnorodnych żywiołów. Mając za sobą siłę liczebną, łatwo przeciągnąć na swoją stronę wszystkich ludzi zdolnych, ambitnych, dążących do wpływu i władzy. Właściwie i ciągnąć ich nie trzeba—lgną sami. Stronnictwo zbogacone ilościowo i jakościowo staje się „regierungsfähig", ma bowiem kim obsadzić wszystkie wpływowe stanowiska i ma siłę do zdobycia dla nich wysokich placówek. To jednak jeszcze nie wszystko, a właściwie to dopiero początek. Przychodzi dzień wypłaty, chwila ziszczenia różnorodnych obietnic poczynionych rzeszom wyborczym. Należy nasycić i karjerowiczów i sfanatyzowanych, malkontentów zadowolnić, uczynić zadość rozbudzonym nadziejom, a zarazem dotrzymać kompromisów. Wtedy ogłasza się niewypłacalność, czyli następuje likwidacja programu — i ogólne rozczarowanie. Wyborcy spostrzegają, że „nasz człowiek" przestał już być „naszym". Nie stać go na pogodzenie sprzecznych dążeń i interesów tych wszystkich, którzy go popierali, każdy w myśl innego hasła: ci dla walki ze Stańczykami, owi przez niechęć dla Rusinów, Niemców lub żydów, inni dla obrony przed socjalistami, inni wreszcie ze szczerej wiary, że narodowa demokracja jest istotną demokracją. Gdy się okaże, że p. Głąbiński w wielu razach jako prezes Koła czyni to samo co p. Jaworski lub p. Abrahamowicz, że nie gorzej niż oni znosi się z marszałkiem i namiestnikiem, z ministrami i koroną, że nie toczy z Rusinami takiej zawziętej walki, jaką wiele łatwiej jest zresztą wszczynać w uniwersytecie lwowskim niż w wiedeńskim parlamencie, stronnictwo stanie wobec smutnej konieczności wyboru między swoim człowiekiem a swoim programem.

Obalać swoich jest trochę trudniej niż obalać przeciwników; z drugiej strony znów trudno utrzymać się przy władzy bez poparcia własnego stronnictwa. P. Głabiński mógłby znaleźć się w położeniu człowieka, który wszedł po drabinie na dach, ale mu drabinę zabrano. Nie można twierdzić, aby taka wysoka pozycja była wygodną lub bezpieczną, a tym mniej imponującą. Narodowo-demokratyczni posłowie w parlamencie nie reprezentowaliby już żadnej siły, a narodowi demokraci nie mieliby tam wcale przedstawicieli.

W stronnictwo ludowym dzieje się o wiele lepiej ale też jeszcze i takich tryumfów ono nie odniosło. Nie można dla niego upatrywać pomyślnej wróżby w nadmiernej skłonności jego przywódcy do poprzestawania na małym. Fakt, że stronnictwo ludowe zyskało na znaczeniu i przewadze, że „jest partją rozstrzygającą", może cieszyć p. Stapińskiego, lecz zwiększa równocześnie jego odpowiedzialność.

Wszystko zależy dziś od tego, o czym i w jaki sposób rozstrzygać będzie. Okoliczność, że konserwatyści nie zwalczają już członków stronnictwa ludowego i nie prześladują, jak dawniej, może być wielką ulgą dla ludzi ale zarazem ukrywa poważne niebezpieczeństwa dla partji. Czyżby już nie mieli ich po co zwalczać? Czy uczynili ludowcy coś takiego, co-

---

2)

Remy de Gourmont.

KULTURA IDEJ.

Z psychologji pogaństwa.

II.

Za czasów Tyberjusza można było jeszcze stworzyć nową etykę, lecz powołanie do życia nowej religji było już niepodobieństwem. Religje, istniejące podówczas, na Wschodzie i na Zachodzie, przewyższały pięknością i bogactwem wszystko, co wymyślić mogły głowy proroków żydowskich, lub Greko-łacińskich poetów. Ani Jezus, ani Philostrates — religji nowej nie stworzyli. Z gotowym dogmatem nadciągał ze Wschodu Mithra. Izyda i Bakchus przyciągali ku sobie wraz z tłumami wiernych najróżnorodniejsze przesądy, krzewiące się wszędy, gdzie wsiąka w ziemię krew i łzy.

Pewien gatunek ślimaka, aby pozyskać pancerz, przywłaszcza sobie porzuconą muszlę cudzą; chrześcijaństwo, aby stać się religją, wkradło się w ustrój mitologicznego pogaństwa, tkniętego już paraliżem w swych narządach wewnętrznych. W progi świątyń pogańskish wstępowali nieznani apostołowie, odziani, nakształt filozofów, w stroje przygodne, z włosem na głowach, jakoby od wichru proroczego wzburzonym, i nowymi imionami chrzcili pradawne bóstwa. Mars przeobrażał się w Marcina, nie wywołując zbytniego zdumienia w ludzie, do nowości religijnych nawykłym. Tyle pogruchotanych posągów leżało po willach, przez wojnę spustoszonych! Boga, który żył nadto długo, strącano z podnóża i stawiano na jego miejscu niewiastę; mówi nam o tej przemianie naiwnej — napis:

Martirii gestans virgo Martina coronam
Ejecto hinc Martis numine templa tenet.

Wojna toczy się między bogami, nie zaś między religjami; religja jest tylko jedna, odmładzająca się ustawicznie.

by się konserwatystom niepodobało, a coby oni jednak — licząc się z ludowcami — cierpliwie znieśli?

Czy przeprowadzili lub choćby posunęli naprzód sprawę reformy wyborczej? Jeżeli na zdobytej przewadze zyskali coś ci i owi ludzie, to cóż zyskało stronnictwo? O ile zbliżyło się ku urzeczywistnieniu swego programu? Co zyskał lud?

Nawet zupełne rozbicie obozu wszechpolskiego nie byłoby dostatecznym powodem do tryumfu, choć zwalczanie wpływów wszechpolskich mieni p. Stapiński jednym z głównych zadań stronnictwa.

Bardzo mizernie przedstawia się ideologja partji, która do swych *głównych* zadań zalicza zwalczanie innej. Konserwatyści są o wiele wytrawniejsi; oni wiedzą, że zwalczanie ludowców wiele mniej im przyniesie zysku niż przeciągnięcie ich na swoją stronę. Wiedzieliby też co robić, gdyby ani ludowców, ani wszechpolaków, ani socjalistów wcale w Galicji nie było, podczas gdy o ludowcach naodwrót — jeszcze nie można przewidzieć, coby uczynili, gdyby dzięki szalonemu powodzeniu jedno ich *główne* zadanie po drugim schodziło z porządku dziennego skutkiem kolejnej kapitulacji wszystkich przeciwników.

Żadna z powyższych wątpliwości nie nasunęła się jeszcze masom zgromadzonym w Tarnowie. Radośnie uczestniczyły w tryumfach swego leadera upojone poczuciem własnej siły, z którą już panowie się liczą. Właściwie panowie z siłą chłopską liczyli się i liczą zawsze, i wtedy, gdy ją uporczywie głosu pozbawiają, i gdy jej głosy kupują, a wreszcie gdy nie mogąc kupować detalicznie lub skrępować wyborczym regulaminem — wydzierżawiają hurtownie biorąc w słodki jasyr jej przywódców i obezwładniając ich kompromisami. Treść pozostaje ta sama, zmienia się forma, a w miarę im łagodniejszą się staje, tym więcej wymaga wytrawności i wytrwałości.

Mieliśmy i tu u nas drobne próbki tej taktyki przy wyborach do drugiej Dumy, gdy chłopi gotowi i zdecydowani do twardej walki rozpływali się jak lód w ciepłych promieniach ujmującej łaskawości pańskiej. W tenże sam sposób niegdyś magnaci zjednywali sobie szaraczkową szlachtę na sejmikach.

Walka w rękawiczkach jest trudna, zwłaszcza dla ludzi nie przywykłych do rękawiczek.

Ale świąteczne upojenie minie a stara bieda, szara troska domagać się będzie powszedniego chleba realnych korzyści. Co będzie, gdy wyborcy zechcą z daleka okazywane im perspektywy możliwości zamienić na dotykalną dzisiejszą rzeczywistość a reformy z programów partyjnych przenieść do księgi ustaw krajowych? Czy p. Stapiński nie podzieli wtedy losu p. Głąbińskiego?

Taka polityka rychło zamienić może nawę polityczną w rodzaj tramwaju miejskiego. Jedni zeń wsiadają, drudzy wysiadają; ludzie coraz to inni, a on wciąż po tych samych szynach się toczy.

I. Moszczeńska.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

„Istnieje cała moc szczebli w każdej rzeczy.

„Są pospolici złodzieje kieszonkowi, są rzezimieszkowie i łupieżcy, fałszerze pieniędzy i gwałciciele kobiet, są w końcu radykaliści socjalistyczni!"

Takimi słowy powitał znany warchoł i utalentowany pamflecista, Henri Rochefort, opozycję przeciw rządom Brianda, która ujawniła się na ławach Izby francuskiej podczas deklaracji przezeń dokonanej. Powitanie to nieprzejednanego nacjonalisty jest wskazówką bardzo znamienną: w tym razie nie Rochefort dokonał zmiany, acz jak kameleon bywa zmienny, jeno rząd pociągnął ku prawicy. Wprawdzie deklaracja jest mglistą i wykrętną: rządowi zależy na tym, jakby wymacać usposobienie nowej Izby, ale deklaracja była w takim tonie sporządzona, iż świadczy niewątpliwie o odsunięciu się niejakim jego od dawnych przyjaciół. Może oddziałał także skład ciała prawodawczego: różnice zarysowały się dobitniej, krańcowa lewica doznała przyrostu poważnego i co ważniejsza wróciła przejęta animuszem anti-rewizjonistycznym, natomiast radykalizm przybrał piętno wyraźniejsze zachowawczości. Kompromisy będą trudniejsze i umiejętność linoskoczka mniej użyteczną. Briand zbył

Niejednokrotnie surowi głosiciele ewangielji nakazywali burzyć świątynie, rozbijać bogów, lecz wówczas lud stawił opór, — i dawna religja przechowywała się po jaskiniach i puszczach. W następstwie, owe gwałty ewangieliczne wytworzyły czarownictwo, kult tajemny, wyradzający się z konieczności w orgję i chorobę. W Paryżu, za naszych czasów, ilekroć religja się obniża, somnambulizm wzrasta. Przesądy przesuwają się z miejsca na miejsce, ale nie giną. Grzegorz Wielki, w zleceniach swych dla mnicha Augustyna, wypowiada się stanowczo przeciw niepotrzebnemu burzycielstwu: „Niszczyć należy nie świątynie, ale bałwany; skoro gmachy są mocne, to je zużytkować!" Jak światła wskazówka dla fałszywych idealistów mieści się w tej radzie praktycznego papieża, który pojmował, jak kosztowne jest budownictwo, i wiedział, że lud przyjaźnie wita ludzi, którzy mu świątynie jego ozdabiają, lecz nie cierpi tych, którzy chcą je burzyć. A przecież słowa Grzegorza były zaprzeczeniem rozkazu Boga, który rzekł: „Burzyć będziecie i niszczyć, łamać i palić; zetrzyjcie na proch bałwany, wywróćcie świątynie, ogień, żelazo, krew! [1]" Papież Rzymski wyżej stanął po nad barbarzyńskie bóstwo. Znać na nim wpływy cywilizacji. Dosłowne rozumienie przez protestantyzm przykazań owego bożka Azjatyckiego rozpaliło właśnie pożar tylu wojen religijnych w Niemczech i we Francji. Autor „Podobieństw" pochwala ten szał burzycielski protestantów, mając do rozporządzenia aż nadto wiele zdań z Ojców Kościoła na poparcie swego fanatyzmu.

Lud nie jest żywiołem niszczycielskim. Nie zna on sposobów niszczenia, jak również nie posiada mocy stwarzania; zadaniem jego przyrodzonym jest przechowywanie; rolę tę pełni w ciągu stuleci z gorliwością bezprzykładną, wbrew narzutliwości kapłanów. Dawną religję rzymską możnaby odtworzyć na podstawie tego, co pobożność ludu przechowuje dzisiaj w swym łonie.

Mnóstwo dałoby się przytoczyć przykładów na dowód owej ciągłości religijnej. Sądzę, iż niektóre z nich będą wymownie przekonywające. Jeśli podaję je bez należytej spoistości, to dlatego, iż chodzi mi jedynie o danie uwag wstępnych; artykuł mój jest raczej odwołaniem się do erudycji uczonych, niźli pracą erudyty.

Rzymianie czcili bóstwo, imieniem *Spinieusis*

[1]) Exodus, XXXIV, 23; Deut., XII, 2, 3

sprawy ważne, wzamian rozwodził się wiele o tym, iż sprawowanie władzy należyte jest pierwszym obowiązkiem rządu, tak samo jak sforność i posłuszeństwo — tych co są rządzeni, prawił jeszcze więcej o miłości ojczyzny i dumie narodowej z powodu programu swojego militarnego i powiększenia marynarki, ale ani słowem jednym nie dotknął tak naglącej reformy sądów wojennych. Środek i prawica krańcowa wtórowały mu oklaskami, lewica od radykalistów socjalistycznych aż do ław krańcowych milczała, w końcu rycerz potwarzy Rochefort stanął pod znakiem Brianda. Pelletan ochrzcił deklarację ministerjalną odezwaniem się, iż jest to zwrot stanowczy steru na prawo, Dumont oświadczył, iż Izba jest bardziej lewą niż rząd, wreszcie Ceccaldi przylepił etykietę gabinetowi, że bez Meline'a jest melinizmem.

I w Hiszpanji otwarto sesję nowego parlamentu. Mowa tronowa zapowiada reformy w duchu liberalnym: kongregacje zakonne będą podciągnięte pod przepisy ogólnej ustawy o stowarzyszeniach, a nadto ulegną zamknięciu klasztory zbyteczne lub te, których ustawy okażą się niezgodnymi z nowymi prawami; będzie przeprowadzoną rewizja przestarzałej ustawy o stowarzyszeniach z r. 1887, podjętą zaś reforma całego szkolnictwa. A ponieważ bez wtrącenia sprawy robotniczej nie może obejść się obecnie żaden program rządów, przeto i o nich znalazła się wzmianka: będzie zapewniona im opieka prawna i inne dobrodziejstwa, o których można powtórzyć dosadne wyrzeczenie przysłowia ludowego: obiecanka cacanka, a głupiemu radość. Zostanie także zaprowadzoną obowiązkowa służba wojskowa, rozszerzeniu i wzmocnieniu ulegną kadry wojska lądowego i marynarki. Że te ostatnio wymienione zapowiedzi najrychlej doczekają się urzeczywistnienia, o tym najmniej można powątpiewać, o ile naturalnie pustki w skarbcu państwowym, które są przeraźliwe, nie staną na przeszkodzie. Co do innych zamiarów — ba! o Hiszpanji ojcowie nasi mieli pojęcie należyte z powodu sum bajońskich, i bodaj takim samym piętnem odznaczają się reformy tamtejsze w duchu „liberalnym". Od lat dziesiątków jest mowa o nich, a tymczasem zaśniedziałe szkolnictwo rozpustne i fanatyczne klasztory istnieją jak istniały. Jedynym dorobkiem ostatnich czasów są bomby, które tworzą dzisiaj rys etnograficzny Hiszpanji. W Barcelonie w ciągu 3 lat wybuchło aż 180 bomb już to na ulicach ludnych, już w różnych gmachach, przed posągami. A co dziwniejsza, nigdy nie doszukano się ręki, która je podkłada. Wprawdzie po każdym wybuchu sanatorja policyjne są przepełnione, ale — ale mieszkańcy powątpiewają o tym, ażeby sprawcy istotni znajdowali się pod kluczem, a na poparcie swego twierdzenia mają argument poważny: ci idejowcy, których schowano do sanatorjum, nie rzucaliby pocisków pomiędzy tłumy przechodniów. A w zaufaniu doszukują się winowajców: jedni wskazują na klasztory, iż stamtąd wychodzą te wybryki dzikości i obłędu, inni podejrzywają karjerowiczów z różnych prefektur porządku. Bomby i ciemnota, a w rozpaczy uderzanie głową o mur, przyrzeczenia liberalne i rzeczywistość ultra-wsteczna, wesoła teorja mów programowych i smutna praktyka urządzeń istniejących...

Zajście pomiędzy Watykanem a rządem niemieckim zostało zażegnane, jak tego z góry można było oczekiwać. Poseł pruski w Watykanie wręczył notę, w której rząd pruski protestuje przeciw ustępom w encyklice dotyczącym Reformacji, przyczym przedstawiciel ten dał do zrozumienia, iż przecież rząd pruski wyświadcza wielki honor Stolicy Apostolskiej utrzymując przy niej posła, a nadto zażądał, iż nowy elaborat zapalczywości nie będzie w dyecezjach niemieckich ani z ambony ogłaszany, ani drukowany w sposób urzędowy przez biskupów. W dni parę później wręczono posłowi odpowiedź, w której matacze watykańscy oświadczają, iż źle zrozumiano w Niemczech cel wydania encykliki i jeszcze gorzej tłumaczono jego ustępy. Czasy się zmieniły! Ongi cesarz niemiecki szedł do Kanossy i tam odbywał skruchę publiczną a zelżywą, dzisiaj Watykan puszcza się na tę drogę i wypowiada skruchę swoją w kłamstwie konwencjonalnym, zadając sprzeczność temu, co sam czarno na białym wydrukował. Jedna tylko okoliczność jest znamienną: doświadczenie powinno było przekonać dyplomatów watykańskich, iż zakusy w rodzaju encykliki ostatniej kończą się jedynie przegraną. A przecież niepoprawni grzesznicy broją jak za dobrych dawnych czasów. Widoczna, że natura, co ciągnie wilka do lasu, jest potężniejszą niż głosy rozsądku. A możliwa rzecz, iż w tym pochodzie do Kanossy berlińskiej ks. Jażdżewski zapragnął przyspieszyć nastanie miłej zgody, głosując na rzecz listy cywilnej Wilhelma II, podwyższonej o $3^1/_2$ mil. marek—Prusy nietylko przodują światu pod względem militaryzmu, ale i poziomu tej listy pokaźnego. Ks. Jażdżewski przy tej sposobności

---

chroniące pola od cierni, ostu, wszelkich ziół kolących, szkodliwych dla trzody; tę samą czynność pełni u nas Matka Boska Zielna, którą wieśniacy pozdrawiają pacierzem schodząc z pola, a wieśniaczki stroją, co niedziela, w wieńce. *Spinieusis* był bóstwem polnym, wieśniaczym. Podróżni zbłąkani w drodze polecali się jego opiece, wzywając ratunku przeciwko złoczyńcom i zbójcom. Właściwie jednak ten rodzaj opatrzności przypadał w udziale *Trivii* oraz jej tajnym sprzymierzeńcom. Wizerunki jej, na pniach dębów starych wycinane, przypominają owe obrazy dzisiejsze „Matek Boleściwych", które zielona kora drzewna ujmuje jakoby w żywe ramy. Bogi ścieżek wiejskich, *Dii semitales* czuwały nad podróżnymi; przyjmowały zanoszone ku sobie modły i dostawały vota na intencję szczęśliwego powrotu. Na konarach drzewa zawieszano laskę, sandały, lub sakiewkę (próżną), prosząc bogów, aby bronili od napaści. Przed wyruszeniem w drogę, pokrapiano się wodą święconą, zaczerpniętą z pobliskiej krynicy; ten sam obrzęd powtarzał się, kiedy wracano z podróży. Bożek o to, co mu przyrzeczono, dopominał się solennie. Śluby były rzeczą świętą, nieodwołalną: *solvere vota* — było to uiszczenie sumy wyłuszczonej w umowie. Że suma owa, jak i dziś zresztą, płynęła do rąk kapłanów, pasożytów świętego przybytku, nie raziło to nikogo. Za pieniądze, na ofiarę składane, kapłani, bądź co bądź, utrzymywali bałwany w świeżości, karmili je modlitwą i kadzidłem. Wszelako na dnie pobożności kapłańskiej taiły się skarby święte. Kapłan zbyt łatwowierny bywał na to, aby uprawiać jedynie wyzysk i szalbierstwo: napawając bojaźnią rzesze wiernych, sam on nie był wolny od strachu świętego przed bóstwem.

Poręcze mostów w starożytności ubrane były w posągi bóstw opiekuńczych; wznosiły się albo tuż po nad każdym filarem, albo tylko pośrodku; niekiedy stawiano tam posągi dziewic. Ammienus Marcellin opisał rzeźby te łaciną tak młodą i żywą, iż zdają się w niej brzmieć tony nowoczesne: *Quales in commarginandis pontibus effigiati dolantur in hominum figuras.*

Mosty teraźniejsze upiększa się także różnymi postaciami, atoli postaci te sprawiają wrażenie śmieszne, nawet wówczas gdy zdają się piękne, ponieważ nie posiadają już żadnego znaczenia. Sztuka, chcąc zstąpić do ludu, musi stać się pożyteczną.

Niegdyś przechodnie zatrzymywali się na chwilę przed tymi wizerunkami, albo też idąc pozdrawiali je pokłonem, jak czynią dziś wieśniacy przed krzyżem lub Matką Boską. „Pobożni podróżujący, — powia-

złożył deklarację: „oddajemy tym samym cesarzowi co jest cesarskiego, przyznając mu to, co uważa za konieczne żądać w interesie stanowiska swego w państwie, w interesie swoich licznych urzędników i służby, w interesie instytucji poświęconych sztuce". Deklaracja ta wywołała nawet w Poznaniu zdziwienie, choć dzielnica ta już przez sławetnej pamięci von Kościelskiego-Admiralskiego została przyzwyczajona do wszelkich oznak czołobitności. Okazało się, iż prezes Koła polskiego w Berlinie, ks. Jażdżewski, nie raczył w sprawie tak doniosłej nawet zasięgnąć rady członków tej organizacji nieobecnych, a rzecz uchwalona została na posiedzeniu, w którym uczestniczyło zaledwie czterech członków. Koło polskie z powodu tego zachowania się swego otrzymało od krańcowej lewicy przewyborną naukę przez usta Hoffmana: „Polacy prosili o zmianę kursu politycznego. Przecież wzamian za $3^1/_2$ mil. marek mogą czegoś żądać! Pozbawili mnie jeszcze jednego co do nich złudzenia. Chyba mieliby wszystkie powody głosowania przeciw temu podwyższeniu. Jednak liżą ten but kirasjerski, który ciągle ich kopie!" Dosadnie i — prawdziwie. Ale szlachta wielkopolska hołduje takiej taktyce oddawna — od czasów wejścia w granice Poznańskiego Szwedów. A dzisiaj doszło do tego, że gdy ktoś broni z godnością interesów polskich w parlamencie niemieckim, nie szukajmy tam nazwiska polskiego, bo znajdziemy niemieckie—Ledebura, w sejmie zaś pruskim — Hoffmana.

Listy z Galicji.

VI.

Rozłam w narodowej demokracji. Kongres stronnictwa ludowego w Tarnowie.

W ciągu ostatniego tygodnia zaszły wypadki wykazujące niezbicie rozłam w narodowej demokracji galicyjskiej.

W jednym z poprzednich listów wspominałem: o zjeździe tego stronnictwa, o mowie prezesa Koła Głąbińskiego zalecającego tolerancję wobec innych żywiołów politycznych i o votum nieufności, uchwalonym przez zjazd, po jego wyjściu, dla rządu krajowego.

Już wówczas widoczne było, że p. Głąbiński i p. Grabski zajmuje stanowisko niejednakowe wobec namiestnika, marszałka i prezesa sądu, w rękach których spoczywają rządy krajowe.

W dniu zjazdu narodowej demokracji prezes Koła polskiego był u namiestnika, który go później rewizytował. Stosunki między p. Bobrzyńskim a Głąbińskim były i są dość dobre.

Prezes Koła rozumie, że obalenie Bobrzyńskiego, hr. Badeniego i Tchórznickiego nie jest łatwe, że zresztą dwuch pierwszych w obecnym czasie nie ma przez kogo zastąpić, pomimo więc pewnych antagonizmów osobistych i ogólnych, walka narodowej demokracji na śmierć i życie z tymi dygnitarzami jest z powyższych względów bezcelowa.

P. Głąbiński, chociaż jest wrogo nastrojony względem Rusinów, rozumie przecież, znając grunt wiedeński, stanowisko rządu i stronnictw — że trzeba im przecież zrobić od czasu do czasu pewne ustępstwa, obecnie zwłaszcza coś postanowić w sprawie ich przyszłego uniwersytetu. P. Głąbiński nie jest orłem, ma jednak za sobą praktykę kilkunastu lat na gruncie politycznym w kraju i państwie.

P. Grabski natomiast nie ma żadnej praktyki politycznej w Galicji, a tymbardziej w Austrji; jest skrajnym doktrynerem nacjonalizmu polskiego, człowiekiem bardzo ambitnym, któremu śpieszy się do władzy. Z tą samą lekkomyślnością z jaką przed laty opierał swoje pomysły powstańcze w Królestwie na szwarcowaniu armat przez granicę, obecnie tworzy pomysły zwalczania Rusinów i polonizowania całej Wschodniej Galicji. Dlatego też przeciwny jest bardziej od innych swoich kolegów partyjnych wszelkim ustępstwom na rzecz Rusinów; nie liczy się zupełnie z rzeczywistością, sądząc że dość jest aby Koło polskie w Wiedniu powiedziało „nie pozwalam", a Rusini nic nie dostaną.

Po uchwale zjazdu lwowskiego, prezes grupy parlamentarnej narodowo-demokratycznej poseł German złożył swój urząd, nie godząc się na tę rezolucję. Wówczas prasa galicyjska i obca zaznaczyła rozbieżność poglądów w łonie narodowej demokracji. P. Grabski, chcąc pokazać siłę i jedność stronnictwa, oraz swoją nad nim władzę, zwołał, po ustąpieniu posła Germana z prezesury, zgromadzenie członków lwowskiej demokracji narodowej. Na zgromadzeniu tym prezes stronnictwa p. Jan Gwalbert Pawlikow-

---

da na początku swych *Florides* Apulejus, — spotkawszy po drodze gaj święty lub uroczysko, odmawiali naprzód modlitwę, potym, przystając na chwilę, składali vota..." w liczbie zaś szczegółów owych miejsc poświęcanych wymienia *truncus dolamine effigiatus* oraz ołtarz polny, przystrojony wieńcami, który przypomina w szczególny sposób dzisiejsze nieudolne obrazy „Panny Łaskawej" czarno odbijające na tle białego kwiecia. Całą niemal spuściznę Djany, patronki dróg, odziedziczyła Marja Panna.

Mimowoli rodzi się pytanie, czy pogańskie bóstwo uległo istotnej zagładzie, i czy wszelkie wysiłki przeciw przesądom ludu dają coś więcej w wyniku ponad zmianę nazwy?

Nazwa mogła się zmieniać, atoli atrybuty zostawały te same, te same dawne przydomki i zakresy działania. *Diana servatrix* przeobraża się całkiem poprostu w Matkę Boską Nieustającej Pomocy, natomiast *Diana redux* zmartwychwstaje w kulcie Gwiazdy Morza, bezpiecznie doprowadzającej żeglarzy do spokojnej przystani.

Śród pozostałych bóstw wieśniaczych, niepomiernym szacunkiem cieszył się *Silvanus*. Nader liczne przechowały się napisy ku jego czci. Przypisywano mu chętnie zwierzchnictwo nad Larami:

SYLVANO
SANCTO. SACRO
LARUM. CAESARI.

Był więc z niego święty już gotów. Bezpośrednio ze świątnic bałwochwalczych przeniesiony został na ołtarze chrześcijańskie, zachowując owo imię św. Sylwana, którym obdarzyła go pobożność ludu. *Priap*, natomiast, zbyt nadszarpniętą miał sławę, aby żyć nadal pod własnym imieniem; przechrzczono go tedy na świętego Wita, aby niewiasty chrześcijańskie nie potrzebowały rumienić się, wzywając opieki bożka, dla którego płeć żeńska żywiła od wieków osobliwsze nabożeństwo.

W ten sposób, na przestrzeni kilku zaledwie stuleci, religja dziewictwa i czystości doszła do tego, iż pod parciem nieustannym ludu, jęła uroczyście tolerować na swych ołtarzach mistrza rozwiązłości, rozkoszne uosobienie potęg przyrodzonych życia! Niechaj to jednak nas nie zwiedzie: Priap, z chwilą gdy był kanonizowany, stał się duchem statecznym, uosobieniem powagi małżeńskiej; jeśli patronuje miłości, to tylko w imię potomstwa; demon przeistoczył się w ofiarnika, pracującego na zaludnienie raju, dla pomnożenia grona aniołów.

(D. C. N.)

ski, w bombastycznych słowach uzasadniał rezolucję zjazdu skierowaną przeciwko rządom krajowym; w końcu swego przemówienia zaprzeczył kategorycznie, aby w stronnictwie istniało rozdwojenie i obsypał komplementami p. Grabskiego. Uczestnicy zebrania oklaskiwali mowę p. Pawlikowskiego.

Oklaski te nie były jednak powszechne, gdyż obecni na tym zebraniu poseł Adam i p. Zdzisław Próchnicki mieli zamiar, w imieniu opozycji, zaatakować p. Grabskiego. Mowa jednak p. Pawlikowskiego i przyjęcie jakie znalazła u większości obecnych — powstrzymała ich od krytyki.

„Słowo Polskie" tryumfowało, p. Grabski chodził po Lwowie z podniesioną głową.

Tymczasem krakowski *Czas* zamieścił artykuł, w którym zaznaczył, że p. Głąbiński powinien znaleźć odpowiednią formę wyrażenia swej niesolidarności z uchwałą lwowską. Ton artykułu *Czasu* był bardzo znamienny.

Okazało się też niebawem, że istotnie p. Głąbiński i nietylko on sam, lecz i inni posłowie narodowo-demokratyczni — wypowiedzieli się przeciwko rezolucji lwowskiej.

Dzienniki doniosły w niedzielę rano, że posłowie narodowo-demokratyczni w parlamencie odbyli wspólną naradę z p. Głąbińskim na czele i większością głosów wraz z prezesem Koła uchwalili trzy rezolucje:

1) że uznają solidarność koła, 2) że liczyć się nie będą z rezolucjami lwowskimi, 3) że tworzą autonomiczną grupę w stronnictwie.

Uchwały te oznaczają zupełny rozłam w stronnictwie i jego dezorganizację. Wykazują: 1) że między większością reprezentującego go zjazdu nie ma zgody w sprawie taktyki; 2) że grupa parlamentarna stronnictwa uważa się w gruncie rzeczy za niezależną od niego, gdyż lekceważy uchwałę jego zjazdu.

W ten sposób nie przydało się na nic p. Grabskiemu sprowadzenie 300 włościan w malowniczych strojach na zjazd lwowski. Za pomocą tych 300 analfabetów politycznych p. Grabski przeforsował swoją rezolucję, której potym nie chciała uznać narodowo-demokratyczna grupa parlamentarna.

Obecnie kłamstwo pp. Grabskich i Pawlikowskich wyszło na jaw, uwidoczniając głęboki rozłam w stronnictwie. Podobno panowie ci złożą swe urzędy prezesa i wiceprezesa stronnictwa.

Komiczną bardzo była rola p. Pawlikowskiego, który chwilami brał urząd swój na serjo, zapominając o tym, że jest manekinem; jeździł nawet do Wiednia, aby użyć swej powagi, doczekał się jednak tylko lekceważenia.

Złote sny p. Grabskiego rozwiały się...

Co robić będzie teraz ten awanturnik polityczny, ten blagier i exstrategik powstańczy?

Namiestnik Bobrzyński zwyciężył znowu.

Nie zachwycam się ani namiestnikiem, ani marszałkiem. Muszę jednak przyznać, że dziś upadek tych ludzi nie wróżyłby nic dobrego.

Gdyby Stanisława hr. Badeniego zastąpił Zdzisław hr. Tarnowski, albo p. Cieński, oznaczałoby to jedynie wzmożenie się kierunku konserwatywnego.

Również powołanie na miejsce Bobrzyńskiego kogoś innego ze sfer biurokratycznych albo arystokratycznych, wyszłoby wyłącznie na korzyść reakcji.

Sami narodowi demokraci nie mają kandydatów odpowiednich na powyższe stanowiska. Zresztą gdyby nawet mieli, rządy narodowych demokratów w Galicji byłyby klęską i doprowadziłyby do ciągłej wojny domowej z Rusinami.

Rozłam osłabi niewątpliwie narodową demokrację w Galicji, wykaże jej bezsilność i brak żywotności. Cóż jednak dalej?

Na razie niema żadnego stronnictwa któreby skorzystało z tego rozłamu. Trzeba dopiero, żeby nareszcie istnieć zaczęła prawdziwie postępowa demokracja. Ludzie wolnomyślni i demokraci są w Galicji, nie są jednak skupieni. Jedni przez nieporozumienie, tkwią w innych stronnictwach, inni stronią od polityki, gdyż nie mają iść do kogo.

Żywioły te mogłyby się skupić około jakiego pisma, któreby powinno powstać i stworzyć nowy program. Najwyższy czas jest po temu.

Niestety, znając tutejsze stosunki, wstręt do skupiania się, brak wiary we własne siły postępowców, niechęć ich do opracowania nowego programu, oraz omawiania spraw „drażliwych" jak np. sprawy ruskiej — niepodobna się łudzić, żeby w bliższym czasie mogło powstać w Galicji stronnictwo szczerze postępowe i demokratyczne z szerokim programem społeczno-ekonomicznym i polityczno-narodowym.

Dnia 12 czerwca w Tarnowie odbył się kongres Pol. str. ludowego. Zjechało się wielu włościan, częściowo, jak twierdzą ludzie kompetentni, na koszt rządu i konserwatystów.

P. Stapiński ze swoim sztabem z bezprzykładnym cynizmem nie dopuszczał przedstawicieli opozycji do głosu. Na zarzuty nie dawał żadnych poważnych odpowiedzi, w sprawie reformy wyborczej do sejmu wyrażał się dwuznacznie. Prawił natomiast dużo o swej sile i uspokajał włościan, że wywrze nacisk na namiestnika Bobrzyńskiego, żeby uzyskać dla nich ważne zdobycze.

Obecnie p. Stapiński zajęty jest wyjednywaniem dla swych zwolenników koncesji szynkarskich po wygaśnięciu prawa propinacji.

Inne sprawy mało go obchodzą.

Bojko w dziecinnym przemówieniu pełnym naiwnych frazesów bronił Stapińskiego, w końcu p. Wysłouch zaproponował uchwały bardzo uczciwe i sympatyczne wprawdzie, ale tak ogólnikowe, że wszyscy począwszy od p. Stapińskiego, a skończywszy na p. Dąbskim skrajnym opozycjoniście mogli je przyjąć. Streszczały się w życzeniach, żeby polityka Stronnictwa była niezależna, narodowa, zasadnicza i moralna.

Zjazd właściwie nie powziął żadnych uchwał konkretnych, nic nie wyjaśnił, nikogo nie zadowolił. Był to właściwie wiec na którym przemawiano w sposób chaotyczny, i na którym panował bezwzględnie terror p. Stapińskiego i jego pachołków. Polityka tego demagoga zdemoralizowała większość stronnictwa ludowego. Szersze dążenia społeczno-polityczne stronnictwa ustąpiły przed karjerowiczowstwem poszczególnych jego członków.

P. Stapiński ma już tyle obowiązków wdzięczności względem namiestnika i konserwatystów, że żądanie od niego polityki niezależnej zakrawa na żart złośliwy.

Stronnictwa galicyjskie rozkładają się, nowe jednak nie powstają.

13 czerwca.

* * *

Znana rezolucja grupy parlamentarnej galicyjskiej demokracji narodowej uniezależniająca ją od uchwał zjazdu stronnictwa we Lwowie, wytworzyła w nim ogromnie ciężką atmosferę, wyjście z której jest nader trudne. Stronnictwo jako całość musi wymagać, aby uchwały jego były wypełniane; z drugiej strony nie ulega wątpliwości, że grupa parlamentarna demokracji narodowej musi mieć pewną swobodę ruchów, na terenie wiedeńskim, i nie może, w stosunkach nader skomplikowanych, kierować się tylko wskazówkami z kraju, pochodzącymi od ludzi niewyrobionych, niekompetentnych, prowadzących walkę ślepą na wszystkie strony bez wyraźnego celu, bez żadnej przewodniej idei, jedynie tylko dla usunięcia niemiłych sobie osób z najwyższych stanowisk w kraju.

Stronnictwa poważne, posiadające wielkie wyrobienie polityczne, unikają konfliktów wewnętrznych w ten sposób, że na swoich zjazdach wstrzymują się od

takich uchwał, które, chociaż odpowiadają poglądom ich większości, są jednak dla mniejszości bardzo niedogodne i źle przez nie widziane.

Stronnictwa takie rozumieją, że sztuczne zwłaszcza majoryzowanie opinji wewnątrz jest w skutkach swoich niepewne, i że doprowadza zazwyczaj mniejszość do kroków rozpaczliwych, szkodliwych dla całości.

Pan Grabski, jako człowiek płytki, intrygant z upodobania, temperamentu i tradycji, a przytym niecierpliwy, w naiwności swojej przypuszczał że dość mu będzie przegłosować swoich przeciwników, aby zapanować nad nimi.

Okazało się jednak że się mylił.

Uchwała grupy parlamentarnej zaskoczyła go niespodziewanie

Trzeba było koniecznie coś przedsiębrać, aby uratować jedność stronnictwa, aby pokazać ogółowi, że żadnego rozłamu w demokracji narodowej niema.

Postanowiono więc spór wewnętrzny usunąć albo zamaskować na posiedzeniu zarządu stronnictwa, które wyznaczono na dzień 19 czerwca.

Na posiedzenie to mieli przyjechać posłowie narodowo-demokratyczni z Wiednia z p. Głąbińskim na czele.

Już 18 czerwca wieczorem przedstawiciele stron obu zebrali się prywatnie, aby omówić razem zatarg. Dyskusja przeciągnęła się długo. Rzucano sobie wzajemne ostre zarzuty, porozumienia żadnego nie osiągnięto.

Trzeba było jednak coś postanowić, co by mogło w błąd wprowadzić opinję publiczną i wykazać że w stronnictwie nie ma rozłamu.

Dnia 19 czerwca zebrał się zarząd stronnictwa w dużym komplecie; p. Głąbiński jednak ze swoimi zwolennikami nie przybył na posiedzenie, chcąc widocznie zaznaczyć swoje lekceważenie dla niego.

Po długich dyskusjach i popisach retorycznych p. Grabskiego powzięto niewinne uchwały, które nic nie rozjaśniają, do niczego nie obowiązują, i mają tylko na celu wykazać, że w demokracji narodowej nie ma rozłamu.

Treść tych uchwał jest następująca:

1) Rezolucje zjazdu obowiązuje wszystkie grupy stronnictwa i wszystkich jego członków;

2) Grupa parlamentarna stronnictwa posiada samodzielność w zakresie taktyki w parlamencie, w sposobach wprowadzenia w życie uchwał zjazdów partyjnych; działa w porozumieniu z zarządem stronnictwa;

3) Znana uchwała grupy parlamentarnej miała na celu wykazanie że działa ona samodzielnie, że nikt jej nie narzuca obcych jej postulatów;

4) Zarządowi stronnictwa, prezesowi grupy parlamentarnej i sejmowej wyrażono wotum zaufania.

P Grabski mieszkał lat kilka w Niemczech, będąc socjalistą, i tam nauczył się od starego Liebknechta jednej ważnej sztuki. Działacz ten ilekroć w partji powstawały ważne różnice poglądów których niepodobna było wyrównać — starał się sprowadzić je tylko do różnic taktycznych, aby w ten sposób sztucznie utrzymać jedność teoretyczno - programową partji. P. Grabski więc postanowił utrzymać jedność demokracji narodowej w ten sposób, że z jednej strony wyraził opinję, że uchwały zjazdów są obowiązujące dla wszystkich grup i członków stronnictwa; z drugiej zaś zostawił wolną furtkę grupie parlamentarnej i p. Głąbińskiemu uznając, że posłowie narodowo demokratyczni w sprawach taktycznych są samodzielni.

Teraz więc ilekroć będzie jakaś różnica zdań pomiędzy zarządem stronnictwa, a grupą jego parlamentarną, to nazywać się ona będzie, w prasie narodowo-demokratycznej, różnicą „taktyczną" tylko. Oczywiście p. Głąbiński praktycznie będzie zupełnie swobodny w swojej polityce w Wiedniu.

Frazes o porozumieniu się grupy parlamentarnej z zarządem stronnictwa nic nie mówi, gdyż porozumiewać się można ze wszystkimi, chodzi tylko o to, czyje zdanie ma być miarodajne w razie kolizji.

Słowo Polskie ogłaszając uchwały zarządu stronnictwa tryumfuje i dowodzi, że niema w demokracji narodowej rozłamu.

P. Grabski jest nieporównany w bladze i mydleniu oczu opinji publicznej. Szkoda tylko, że jego frazesy nie są w stanie nikogo przekonanać.

Podobno poseł Battaglia ma wystąpić ze stronnictwa. Jest to osobistość bardzo energiczna i sprytna, która dla demokracji narodowej dużo robiła. Zarazem jednak kompromitowała ją przez rozmaite szwindle gieszefciarskie, o których prasa często pisała. P. German otrzymać miał naganę.

Rozłam w demokracji narodowej jest faktem dokonanym. Czy przyjmie on formę jawnego zerwania ze sobą dwu odłamów tego stronnictwa czy nie, rzecz to już podrzędna. W każdym razie rozbieżność opinji w stronnictwie osłabiła je, wzmocniła stanowisko namiestnika i marszałka i innych antagonistów demokracji narodowej. Obecnie stronnictwo to zaczyna coraz bardziej tracić w opinji społeczeństwa.

Lwów, 20 czerwca. *Ludwik Kulczycki.*

NA DOBIE.

Tajemnicza ręka.

Mimo wątpliwości, jakie wzbudza tekst niektórych dokumentów tajnych ujawnionych ostatnio w *Kurjerze Warszawskim*, naogół pewnym jest, że te rewelacje uchyliły rąbek zasłony z knowań rusińsko-niemieckich w Galicji, o czym dotąd głuche krążyły wieści.

Wykryto ślady tej *tajemniczej ręki*, co pośpiesznie i sprawnie uwija się wokół granic niemieckich, na terenie domniemanej przyszłej wojny. We Francji i w Anglji, na wschodnim pobrzeżu, są to strategiczne zwiady i przeszpiegi; tu, na ziemiach polskich, tajemnicza ręka oblekła się w bawełnę intryg subtelnych: każde jej dotknięcie szerzy brud i zarazę, krzewi rozterkę i zdradę tam, gdzie trzeba ufności i zgody, tępi w zarodku każdy zespół słowiański, któryby rozrość się mógł w groźną i zabójczą dla Niemiec potęgę..

Przeciwdziałanie tej niszczącej robocie szpiegów niemieckich jest rzeczą niezmiernie trudną, zwłaszcza w naszych warunkach. Toć nierównie od nas lepiej wyposażona w środki obronne Francja walczy płonnie z tymi mackami potwornej ośmiornicy, które ją zewsząd opłątały. Z fortec i biur francuskich giną co tydzień modele, mapy, plany i papiery sekretne; dziwne wypadki dziesiątkują marynarkę francuską, która przed 5 laty górowała jeszcze nad niemiecką, a dziś już jej nie dorównywa; ciągłe wichrzenia anarchistów, niewiadomo zkąd przybyłych, mącą prawidłowy tryb pracy w arsenałach i portach wojennych, zwłaszcza w Tulonie, który zyskał rozgłos złowrogi, jako „przeklęty port" (*le port maudit*).

Opinja francuska zżyła się już z tym nieuchwytnym rojowiskiem szpiegów, czynnych, czujnych i sprawnych, i trzeba nad miarę zuchwałego giestu „tajemniczej ręki", aby ją wytrącić z kwietyzmu. W r. z. jen. Leon Durand, dowodzący 6 ym korpusem w Nancy, doniósł ministrowi w raporcie bardzo flegmatycznym, że szpiegi depcą mu literalnie po piętach podczas objazdów służbowych. Francuskie miasta pograniczne roją się od szpiegów niemieckich, rzekomych kupców, wojażerów, kelnerów i subjektów, tworzących kółka złożonej i precyzyjnej machiny, której centrum znajduje się w Metz, a biura pomocnicze w Genewie i Brukseli.

Francuska policja bezpieczeńswa (*La Sureté Générale*) rok rocznie wygniata i dusi po kątach do 800 sztuk tego szkodliwego robactwa. Wszystko naprożno. Na miejsce zniesionych, nowe wyrastają szeregi, sypkie, rzutkie, zuchwałe, metodyczne. Jest to szturm nieustający, istna wojna w czasie pokoju, zjawisko charakterystyczne dla dzisiejszej doby rozkwitłego w olbrzymi kwiat militaryzmu.

Bo też Niemcy nie żałują złota i zachodu na budowę rozległych kadrów służby wywiadowczej W tym osobliwym kraju, gdzie ślepy rygor koszarowy kojarzy się tak łatwo i owocnie z metodą ścisłego badania — szpiegostwo liczy tysiące wykwalifikowanych mistrzów i niezliczoną moc gorących i sprawnych adeptów. Stanowi ono wybitną i nieodzowną część machiny państwowej; otoczone troskliwą pieczą, wyróżniane zaszczytnie, hojnie płacone — przewyższa techniką i ogromem wszystko, cokolwiek w tym rodzaju istniało w cywilizowanym świecie... Rozsiadłszy się w centrum Europy, Niemcy biurokratyczno-wojskowe omotały sąsiadów mnóstwem czujnych ssawek, przenikając w ministerja, salony, kluby, koszary, biura — pilnując jednych tytułem podejrzliwej przyjaźni, a drugich — tytułem nienawiści przezornej.

L. G.

Dokoła encykliki.

Kiedy minął pierwszy popłoch w kołach klerykalnych z powodu nowego nietaktu Kurji Rzymskiej, niektóre świętobliwe organy próbowały nadrabiać miną, a *Dziennik Powszechny* uderzył nawet w kotły i litaury i zakrzyknął *alleluja!*... ale zląkł się własnego falsetu i zamilkł.

Bo też w obliczu widocznej i dotkliwej porażki, niewczesny ten tryumf wygląda na urągowisko, lub na przysłowiową radość „gołego w pokrzywach". Bo i cóż mogłoby tę radość usprawiedliwić? Czy konsternacja Kurji i wieść o zamierzonej jakoby dymisji kard. Merry del Val? Czy bełkot urzędowego *Osservatore*, który „wyjaśnia", iż encyklika nie dotyczy „protestantów", jeno „zbuntowanych katolików" (!) XVI wieku, poczym wybija pokłony przed pikielhaubą pruską. Czy może protest katolickiej Bawarji i rozgoryczenie niemniej katolickiej, lecz kulturalnej, Saksonji? Lub odsiecz ze strony protestankich junkrów w sejmie pruskim, którzy pośpiesznie ucięli łeb własnej interpelacji ze strachu przed nazbyt wolnomyślnym obrotem całej sprawy?

Bo wszak zaprzeczyć się nieda, że encyklika *Editae saepe* — której niefortunnym autorem jest pono biskup medjolański Ferrari — posiada treść i formę zwyczajnego paszkwilu. Klerykali wrzasnęli chórem, że „przekład był dowolny i nieścisły". *Czemu tedy nie dadzą urzędownie sprawdzonego tekstu*, zanim specjalna konferencja biskupów przerobi go *ad usum delfini?* Widocznie niebardzo nadaje się on do druku i do słuchu, skoro rozkaz papieski wzbronił odczytywania z ambon oszczerczej i brutalnej encykliki *Editae saepe*. Chybionego kroku żadne wybiegi nie naprawią: *Roma locuta — causa perdita*. Orzeczenie nasze było trafne, i dlatego właśnie powitano je z okopów klerykalnych salwami płonnej wściekłości.

Natomiast zwycięzkie *peany* powinni wstrzymać nasi orędownicy Kurji do chwili stosowniejszej. Niedługo będą czekać. Gotuje się oto nowy zatarg: ostattnie z państw romańskich, *Hiszpanja*, wślad za Włochami i Francją, strząsa jarzmo rzymskie i staje w szeregach Wolnej Myśli. Odtąd jeden tylko kraj pozostanie zgięty pod ferułą wyznaniową rzymskiego związku kardynałów: tym krajem jest Polska. Zaszczytne wyróżnienie!

Dla rodzimych kalchasów istotny powód do chełpliwej radości... Potym, wypadnie i nam z kolei pójść — wślad za Hiszpanją. Lecz nie uprzedzajmy faktów.

L. G.

Samorząd u rogatek Warszawy.

Zbliża się ku końcowi bieżąca sesja trzeciej Dumy, której wspomnienie wyryje się niezatartymi głoskami na kartach dziejów. Istotnie okazała się ona zdolną do roboty, niby dobra maszyna elektryczna do gieograficznych i prawodawczych przeróbek. Nawet w wieku samochodów trudno robić historją w bardziej błyskawicznym tempie niż ona w ostatnich tygodniach przedwakacyjnej gorączki. Finlandja, ziemstwa na Litwie i Rusi — teraz kolej na Chełmszczyznę. Dla nabrania tchu w tej szalonej jeździe posłowie prawicy pojechali skąpać się w świeżym powietrzu wsi chełmskiej i podniecić energję widokiem niedoli uciśnionych chłopów prawosławnych przebranych w malownicze łachmany.

Tymczasem — zanim dokonają operacyjnego cięcia, zastrzyknięto Królestwu Polskiemu dawkę znieczulającej morfiny: Projekt samorządu miejskiego dla „Prywiślinja" już został Dumie złożony.

Już? Po pięciu latach obietnic — to wcale nie zbyt nagle.

Od pięciu lat, to jest od chwili, gdy w kraju sformułowano i powszechnie przyjęto postulat autonomji — częstują nas samorządem i każą nam na ten temat myśleć i śnić. W pierwszej chwili nikt nie mógł się zdobyć ani na odrobinę entuzjazmu dla tej reformy; dziś trudno się zdobyć na wiarę w jej urzeczywistnienie.

Bynajmniej nie dlatego, ażeby ona przewyższała nasze nadzieje i pragnienia. Pragnienia nasze są zawsze niezmienne — a nadziei porzucać nie ma powodu, bo cóż nam wtedy pozostanie? Samorząd nie może być tematem tęsknot i marzeń — tak jak nie może nim być trzeci most, rzeźnia centralna lub bulwar nad Wisłą. Nie mniej wszystkie te całkiem konkretne i prozaiczne dobra mogą być niepochwytne i rozpływać się w mgle lub rozbijać o jeszcze prozaiczniejszą rzeczywistość. Musimy być narodem marzycieli, skoro nawet takie zdobycze jak tramwaje elektryczne lub most na Wiśle całe lata pozostają w sferze marzeń, zanim zaczną przybierać konkretne choć spaczone kształty.

Jak zwykle bowiem się dzieje, każda rzecz w marzeniu jest wiele piękniejszą niż w rzeczywistości. Zapewne nikt z mieszkańców Warszawy nie marzył nigdy o moście za 5 i pół miljona rubli odgrodzonym od miasta głębokim dołem, ani o samorządzie podzielonym na narodowe kurje o liczbie radnych mniej więcej odwrotnie proporcjonalnym do liczby wyborców. Nie ma też bynajmniej powodu powątpiewać, że w ślad za pierwszym marzeniem spełni się dziś i drugie i to w tej samej kolei: Najprzód dziura — jeśli nie w moście to przed mostem — a potym sam most; najprzód różne luki w samorządzie — potym okrojona reszta.

Zresztą chwila dla wprowadzenia samorządu jest tak dobrze dobrana, tak odpowiednia, — mianowicie w Warszawie stał on tak już dojrzałą potrzebą, że nie możnaby się dziwić, gdyby w jesieni przy uchwalaniu go trzecia Duma znowu wpadła w tempo galopady.

Bo oto jak się przedstawia położenie rzeczy: Warszawa ma już 33 miljony rubli długu, a nieomal jeszcze żadnych z tej pożyczki korzyści — obok naglących i niecierpiących zwłoki potrzeb wywołanych poniekąd złym użyciem roztrwonionych pieniędzy. Zamiast nowego połączenia z prawym brzegiem, odcięto na znacznej przestrzeni górne miasto od lewego wybrzeża; rzeźni centralnej jeszcze nie ma, jest za to park w Młocinach; szpitale i teatry w stanie równie kwitnącym; wszędzie braki i niedobory.

Głód mieszkaniowy coraz dotkliwszy, dla nędzy ulicznej absolutny brak schronienia i opieki i gdzie tylko spojrzeć, tam rzuca się w oczy tysiące bied i braków domagających się zaspokojenia. O tych wszystkich biedach i brakach będą mieli zaszczyt radzić przyszli ojcowie miasta; ich mądrości pozostawione będzie kręcenie bicza z piasku, to jest wyszukiwanie nowych źródeł dochodu na opłatę procentów i na pokrycie coraz większych potrzeb przy zupełnie zamkniętym, bo na długi czas wyczerpanym kredycie. Z rozczulającą delikatnością obecny zarząd nie dotyka wielu ważnych spraw pozostawiając je do rozstrzygnięcia przyszłemu samorządowi.

A jednak dobrze byłoby, gdyby nawet ten okrojony, wąziutki i kaleki samorząd urzeczywistnił się bez dalszej zwłoki; bo gdy dłużej jeszcze będziemy na niego czekali, to głębokie dziury i doły zamienią się po prostu w przepaście a jeśli już dziś zalecałoby się wybierać na radnych samych gienjalnych ludzi, to za lat parę i gieniuszów nie dość; będzie trzeba szukać cudotwórców.

M.

Echa polityki dworskiej.

Opinja publiczna w Poznańskiem, rozgoryczona ostatnim występem księdza Jażdżewskiego i stanowiskiem Koła w sprawie listy cywilnej cesarza, szuka wciąż sposobów umycia się z tej kompromitującej plamy, jaką wielebny prałat pozwolił sobie zababrać jej oblicze, przemawiając w jej imieniu. Najprzód Towarzystwo demokratyczne jednomyślną uchwałą swych 150 delegatów potępiło wystąpienie księdza prezesa. Obecnie krążą wśród ludności protesty przeciw polityce Koła i zbierają się pod nie podpisy. Koło samo, cokolwiek zaambarasowane coraz głośniejszym szemraniem rzesz wyborczych, przełamało obowiązującą je dyskrecję i dało do zrozumienia, że ksiądz prałat samowolnie i bez upoważnienia wdał się w uzasadnienie jego stanowiska.

Głosowanie bierze więc Koło na swoją odpowiedzialność, tekst deklaracji i motywy daruje na osobistą własność księdzu Jażdżewskiemu. Podobno nawet za to małe nieporozumienie ma odpokutować gadatliwy prałat dymisją z godności prezesa Koła. — „Podobno!" — Wiadomość tę jednak przyjmować należy z wielkimi zastrzeżeniami. Jasna rzecz, że chcąc się też trochę oczyścić wobec opinji, posłowie nasi składają winę na tego, kogo nic już usprawiedliwić nie może, i kto nie pierwsze w życiu palnąwszy głupstwo, zawsze nietylko bez szkody i cało wychodził z gotującej się przeciw niemu burzy, lecz nadal ustalał o sobie opinję wytrawnego polityka, niezastąpionego mówcy, aż został prezesem Koła polskiego.

Na wołowej skórze trudno spisać, ile razy ks. Jażdżewski przez swe rzekomo znakomite informacje z najcenniejszych i najmiarodajniejszych źródeł wywiódł kolegów na manowce, zawsze na te same błędne ścieżki ugody za tymi samymi migotliwymi ognikami łask, względów, półsłowkiem szeptanych przez centrowe, konserwatywne i oficjalne syreny obietnic. Nie wolno zapominać, że tenże sam *zasłużony* poseł ostro potępił w Izbie prawodawczej cały ruch polski na Górnym Śląsku i działalność pism polskich, które są jego wyrazem. I wtenczas oburzano się na niego a mimo to — mimo obecności posłów górnośląskich w Kole — ks. prałat ani razu nie został pominięty przy wyborach, ani razu nie zabroniono mu przemawiać imieniem Koła w sprawach zasadniczej wagi, wreszcie nie zawahano się powierzyć mu przewodnictwo!! Czym to wytłumaczyć? Są pomyłki, których popełniać nie wolno; nie wolno wyborcom łudzić się co do wartości księdza Jażdżewskiego i nie wolno Kołu polskiemu zawodzić się na jego wystąpieniach. Kto chce takiego posła i takiego prezesa, ten chce się najeść wstydu i upokorzenia, temu owoce serwilizmu przypadają do smaku.

Jeśli Tow. demokratyczne, którego wpływy zdają się szybko wzrastać, chce się istotnie zasłużyć społeczeństwu, powinno raz przecie skłonić księdza Jażdżewskiego do złożenia mandatu lub conajmniej obalić jego kandydaturę przy następnych wyborach. Nie będzie to może rzeczą łatwą. Poznańczycy przywiązani są do tradycji, a ks. Jażdżewski posłuje już tyle — tyle lat! Kolega ś. p. księdza Stablewskiego z ław poselskich, potym współzawodniczący z nim kandykat na arcybiskupią stolicę, może i dziś jeszcze przy schyłku dni swoich nie przestał marzyć o prymasowskiej katedrze. Wprawdzie od kilku lat wieść głosi, że następcą arcybiskupa Stablewskiego ma zostać Niemiec. Cóż jednak, jeśli się cesarz Wilhelm przekona, że żaden kanonik niemiecki nie jest lojalniejszym Prusakiem niż ten polski prałat? Otrzymawszy „co cesarskiego" z pobożnych rąk szczwanego służalca, może w odruchu wdzięczności odda słudze Kościoła „co kościelnego?" Kto wie? Może o tym roił ks. prezes, gdy apelował do wzajemności monarchy? Niegdyś przed laty koledze jego udało się wypłynąć na falach ugody, ale dziś inne czasy. Polskie dworactwo źle jest widziane na berlińskim zamku i tylko ślepy psi nałóg służalstwa każe jeszcze temu i owemu sięgać do pańskiej klamki.

M.

Konfiskata.

Notujemy fakt znamienny: Wolnomyślna młodzież akademicka we Lwowie w „Akademicką Ligę Wolnej myśli" zorganizowana wydała świeżo maleńką broszurkę zawierającą żywot Giordana Bruna.

Książeczka niebezpieczna nie myślą zdradną, lecz zapałem młodzieńczym! to też na okładce widnieje napis złowieszczy: „Po konfiskacji nakład drugi", a stronnice broszurki jakby dla ilustracji światła, białymi połyskują kartkami: „skonfiskowano"! I słusznie; bo zbrodnią przeciwko wszechwładnej ciemności jest mieć za hasło:

„Wolność sumienia,
Wolność nauczania,
Wolność dla prawdy i wiedzy!"

S. S.

BADANIA NAUKOWE.

Pochodzenie człowieka z punktu widzenia badań doświadczalnych.

(Dokończenie).

Przedsięwzięcie Bernelot-Moens'a oczywiście interesuje niezmiernie wszystkich antropologów i jest dla nich bardzo pożądane. Wszakże Bernelot-Moens opiera się na fałszywej podstawie, gdyż przypuszcza, że dla poznania tajemnicy naszego pochodzenia — wystarczy stworzyć rasę pośrednią pomiędzy człowiekiem i antropoidami.

Sprawa ta jednak przedstawia się inaczej.

W przypadku bowiem wyprodukowania metysów antropoidyczno-ludzkich, t. j. kształtów pośrednich pomiędzy małpami człekokształtnymi współczesnymi i ludźmi współczesnymi, bynajmniej nie zostanie powołana do życia istota zaginiona, ani też wskrzeszona zostanie postać przodka człowieka i antropoidów.

Nadzieje Bernelot-Moens'a spowodowane zdaje się zostały tym, że *utożsamia on kształt pośredni*

z kształtem przodka. Na podstawie tego, że istniały w przeszłości kształty archaiczne, będące kształtami pośrednimi pomiędzy człowiekiem a jego przodkami, Bernelot-Moens sądzi, że powoła do życia kształt przodka, wytwarzając istotę za pomocą krzyżowania ludzi z małpami człekokształtnymi.

Jest to rozumowanie błędne, które doprowadziło prof. Bernelot-Moens'a do przypisania produktowi zwykłej metyzacji znaczenia wartości atawistycznej, której metys nie posiada wcale.

Zdaniem Bernelot-Moens'a znamy już szczątki należące do istot pośrednich pomiędzy małpami człekokształtnymi i człowiekiem. Takimi są okazy rasy spy - neandertalskiej, które Bernelot-Moens uważa za należące od gatunków ludzkich niższych od człowieka współczesnego. Do tej samej kategorji zalicza on również szczątki istoty nazwanej Pithecanthropus erectus, która mogła być, bądź mieszańcem powstałym z małpy człekokształtnej i człowieka, bądź też kształtem przejściowym pomiędzy tymi dwoma postaciami.

Prof. Mahondeau robi jednak uwagę, że aczkolwiek przedstawiciele rasy spy - neandertalskiej, jak też i szczątki Pithecanthropusa posiadają pewne znamiona podobne do cech właściwych Antropoidom, wszelako nie oznacza to bynajmniej, ażeby te szczątki miały być istotnymi kształtami przejściowymi pomiędzy człowiekiem i małpami człekokształtnymi.

Znamiona bowiem zwane częstokroć małpokształtnymi (pithecoidalnymi) są prawdopodobnie, według Mahondeau, pozostałością znamion atawistycznych, posiadanych przez pierwotnego przodka wspólnego człowieka i małp człekokształtnych i przekazywanych od tego czasu bez przerwy — obu linjom rozwojowym, t. j. Hominidom i Antropoidom.

Zresztą, jeżeli chodzi o zgrubienia nadoczodołowe, to według badań moich ogłoszonych w Sprawozdaniach Towarzystwa Naukowego Warszawskiego 1909 r. *charakter* zgrubień nadoczodołowych u antroidów jest *odmienny* od charakteru tych że zgrubień, zarówno u rasy spy - neandertalskiej, jak też i innych ras ludzkich.

Zdaje się iż myśl, jakoby Pithecanthropus mógł być bastardem małpy człekokształtnej i człowieka — zasuggiestjonowała p. Bernelot-Moens i zachęciła go do przedsięwzięcia doświadczeń nad krzyżowaniem.

Otóż jeżeli nawet przypuścimy, że Pithecanthropus był rzeczywistym kształtem pośrednim, metysem pomiędzy kształtami ludzkimi i małp człekoształtnych, które były już oddawna wyodrębnione i zróżnicowane, to jednak nie zdaje się, by wskrzeszenie tego rodzaju postaci, a raczej stworzenie na nowo kształtu takiego współczesnego, mogło być bardzo użytecznym dla studjów nad pochodzeniem człowieka.

To, co antropologowie potrzebują poznać w studjach powyższych — nie jest bynajmniej morfologją istoty pośredniej pomiędzy człowiekiem współczesnym i małpą człekokształtną współczesną, lecz morfologją kształtu zanikłego, który był przodkiem wspólnym potomstwa pochodzącego odeń — Hominidów i Antropoidów. Jedynie tego rodzaju typ mógłby, podług wyrażenia Bernelot-Moens'a, mieć związek z utraconą tajemnicą naszego pochodzenia.

Lecz czy jest rzeczą możliwą zapomocą jakiegokolwiek doświadczenia wskrzesić morfologję archaiczną, którą powinien był posiadać osobnik, będący punktem wyjścia dwóch najwyżej rozwiniętych rodzin z rzędu Naczelnych?

Zaiste jest to więcej niż wątpliwe i chociaż uczony holenderski jest pełen ufności w powodzenie swego przedsięwzięcia, to jednak jest rzeczą niewątpliwą, że doświadczenia Bernelot-Moens'a, nawet uwieńczone powodzeniem, nie wyjaśnią zagadnienia o pochodzeniu człowieka.

To, co może zrobić Bernelot-Moens, będzie identyczne z tym, co od czasów niepamiętnych zostało dokonane przez hodowców. Krzyżując konia z osłem otrzymujemy kształt nowy, przedstawiający odmiany rozmaite, stosownie do tego — czy zachodzi krzyżowanie pomiędzy koniem i oślicą, czy też pomiędzy osłem i klaczą; lecz istota nowa, będąc w rzeczywistości kształtem przejściowym pomiędzy dwoma postaciami, które dały jej początek, nie przedstawia jednak w żadnym razie kształtu przodka konia i osła.

Z tego względu mieszańce, które mogą być otrzymane przez Bernelot-Moens'a, nie będą miały żadnego znaczenia dla kwestji naszego pochodzenia, podobnie jak i muły — dla kwestji pochodzenia konia lub osła.

Antropoidy współczesne bowiem nie mogą być rozpatrywane jako przodkowie człowieka, podobnie jak osioł nie jest przodkiem konia.

Według słusznego twierdzenia G. Mahondeau małpy człekokształtne współczesne są linją poboczną względem linji rozwoju ludzkiego i jako nasi krewni dalecy i tak głęboko odmienni — mają nieskończenie mało danych na to, by móc odtworzyć przy krzyżowaniu postać przodka wspólnego.

Bernelot-Moens, zdaniem Mahondeau nie osiągnie zapomocą swych doświadczeń nad krzyżowaniem — ani odtworzenia typu pierwiastkowego człowieka i antropoidów, ani też nie odrodzi, jak zdaje się mniema, Hominidów ze Spy i Neanderthalu, albo Pithecanthropusa z Jawy.

Według Mahondeau w epoce współczesnej kształtom ze Spy, Neanderthalu, Moustier i t. p. oraz Pithecanthropusowi, — różne kształty pochodne od pierwotnej, wspólnej gałęzi człekokształtnej i przystosowane do bardzo odmiennych rodzajów życia, jak też sposobów lokomocji, — oddawna już musiały stargać wszystkie związki gienetyczne, a zatym nie były w możności płodzenia metysów, jakichkolwiek kształtów przejściowych. W Europie sprawa ta była szczególniej trudna, gdyż antropoidy wyemigrowały z niej ku okolicom zwrotnikowym prawdopodobnie w końcu okresu miocenicznego.

Wreszcie ostatnia uwaga, uczyniona przez prof. Mahondeau dotyczy tego, że p Bernelot-Moens wychodzi z założenia jakoby zwierzęta — tej samej krwi, z punktu widzenia pokrewieństwa chemicznego i uważane za pochodzące od wspólnych przodków — miały zawsze produkować metysów.

Jednakże wiemy, że zwierzęta morfologicznie podobne do siebie, lecz wykazujące wątpliwość co do wspólności ich pochodzenia, okazują się zdolnymi do płodzenia mieszańców, podczas gdy inne zwierzęta, pochodzące niezaprzeczenie od przodków wspólnych— wykazują mniejszą tendencję do krzyżowania się wzajemnego.

Możność płodzenia mieszańców nie będzie tedy kamieniem probierczym, pozwalającym wykryć niezaprzeczoną wspólność pochodzenia; pewien stopień pokrewieństwa chemicznego krwi jest wystarczający dla możności płodzenia.

Inne przypadki, zdolne wyświetlić tę kwestję, dowodzą, że pochodzenie wspólne przodków, także stosunkowo mało oddalone, nie prowadzi bynajmniej zawsze do produkowania mieszańców, gdyż gatunki pokrewne mogą wykazywać niechęć do krzyżowania się wzajemnego.

Że w rezultacie w przypadkach rozmaitych niepowiodą się doświadczenia nad krzyżowaniem, nawet przedsięwzięte przez Bernelot-Moens'a za pomocą zapłodnienia sztucznego — nie należy jednak na podstawie tego wnioskować, że wspólność pochodzenia człowieka i małp człekokształnych jest złudzeniem anatomji porównawczej.

Gdyż bez zwracania się do przodków, którzy egzystowali w czasach gieologicznych, znane są nam gatunki zwierzęce, które obecnie będąc mniej lub więcej zróżnicowanymi, nie parzą się jednak pomię-

dzy sobą, pomimo, że wytworzyły się z gałęzi wspólnej — w epoce historycznej, współczesnej.

Takim jest przykład dostarczony przez Cavia aperea — małego gryzonia z Ameryki południowej (Brazylja, Paraguay). Zwierzę to przywiezione do Europy w połowie XVI wieku — stało się naszą świnką morską (Cobaya). Otóż obecnie osobniki dzikie z Ameryki nie wykazują żadnej tendencji do parzenia się ze swymi krewniakami udomowionymi Mamy tu przecież do czynienia z jednym i tym samym gatunkiem, znajdującym się jedynie od 3-ch wieków w klimacie odmiennym.

Darwin w swoim dziele traktującym o zmienności zwierząt i roślin podaje fakt absolutnie identyczny. Jest to przykład obecnie klasyczny, dotyczący królików z Porto-Santo, małej wyspy położonej na północo-wschód od Madery. Króliki zostały sprowadzone na tę wyspę na początku XV wieku. Mianowicie, mówi Darwin, że w 1418 — 1419 roku I. Gonzales Zarco, mając na pokładzie statku samicę królika z małymi które jej się urodziły w drodze, pozostawił wszystkie, matkę i młode, na tej wyspie, Zwierzęta rozmnożyły się tak szybko i spowodowały takie spustoszenia, że wyspa zostałe opuszczona.

Króliki z Porto - Santo różnią się obecnie od królików udomowionych w Europie, zarówno pod względem wzrostu, który się zmniejszył, jak też i pod względem różnych innych cech.

Otóż jest faktem godnym uwagi, dodaje Darwin, że w ogrodzie zoologicznym w Londynie stróż nie mógł w żaden sposób spowodować parzenia się pomiędzy dwoma osobnikami męskimi królików z Porto - Santo a osobnikami żeńskimi królików rozmaitych ras, pomimo częstokrotnego zamykania ich razem.

A przecież przodkowie królików współczesnych z Porto - Santo należeli do kształtu zwykłego udomowionego, gdyż króliki te były wzięte na pokład statku jako pożywienie i nie jest bynajmniej prawdopodobnym, jak zauważa Darwin, by należały one do rasy szczególnej.

Tak tedy, z punktu widzenia badań mających na celu poznanie pochodzenia człowieka, ani powodzenie, ani też niepowodzenie doświadczeń pr. Bernelot-Moens'a, nie dostarczy nam dokumentów przekonywujących. Pomimo jego nadziei, skrzyżowanie człowieka współczesnego z współczesnymi małpami człekokształtnymi nie pozwoli; pr. Bernelot-Moens'owi wskrzesić kształtu zaginionego i jeżeli mu się powiedzie stworzyć kształt nowy, ciekawy bardzo do poznania, to jednak fakt ten nie pozwoli nam wcale poznać tajemnicy naszego pochodzenia.

K. Stołyhwo.

Socjalizm na gruncie Ameryki.

(*Maurycy Hillquit:* **Dzieje socjalizmu w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej**. Przeł. Bolesław Jędrzejowski. Kraków. S. 282 i skorowidz).

Ruchliwa firma wydawnicza Książki pozwala nam w szeregu doskonale dobranych przekładów zaznajomić się z dziejami socjalizmu w różnych krajach. Dzieło Hillquita jasne teoretycznie i obfite w fakty przeprowadza historję socjalistycznego ruchu od pierwszych jego kroków na ziemi amerykańskiej aż do czasów ostatnich. Przekład, który pod względem języka nie zawsze jest poprawnym, wynagradza to poniekąd cennymi przypiskami tłumacza i starannie ułożonym skorowidzem.

Zapoznajmy się z treścią książki:

Dla mieszkańca Europy istniejąca na zasadach komunizmu osada równa się dotąd opowieści z bajki. Nietylko ustrój społeczny, ale wrodzone każdemu uprzedzenia, upodobania, nawyczki stwarzają przywiązanie do panującego dziś indywidualizmu tak silne, iż możemy je stopniowo przeobrażać, ale porzucić odrazu niepodobna. Wrastamy, jak się wyraził Liebknecht, w ustrój przyszłości i to dodajmy nie w taki, jaki przedstawiały sobie programy wczesnego marksizmu, ale wytworzyć go odrazu nie potrafimy.

Dziewicza ziemia Ameryki i umysły ludzi, których przodkowie, opuszczając starą Europę otrząsnęli się z przesądów, wytwarzała w ciągu XIX stulecia całe szeregi gmin komunistycznych. Nordhoff pisząc w 1875 r. wylicza 70 osad komunistycznych. Hillquit twierdzi, że kilkaset gmin tego rodzaju istniało w ciągu ubiegłego stulecia w różnych miejscowościach Stanów i że setki tysięcy osób brały w nich udział. Pomimo niepowodzeń i rozkładu tych miniaturowych zawiązków komunistycynego ustroju przeniknąć on przeto musiał, jako ideja do umysłów społeczeństwa. Jest to niewątpliwie jednym z powodów, że poza ruchem czysto robotniczym, uznającym socjalizm za swoją ideologję, wśród osób zamożnych, pochodzących z zawodów wyzwolonych, socjalizm liczy w Ameryce bardzo licznych członków i sympatyków. Wybitni profesorowie uniwersytetu głoszą jego zasady w specjalnej szkole nauk społecznych (Rand school of social science), a Socjalistyczne Towarzystwo Międzyuniwersyteckie popiera studja socjalistyczne w kołach studjującej młodzieży. Ruch ten opiera się na podstawach naukowych, przeszedł szkołę międzynarodówki, wybitnie różni się od starego komunizmu, ale i nie zamyka w ciasne ramy jednej doktryny.

Widać to z określenia Hillquita, które tu przytaczam, ponieważ jednocześnie daje ścisłą definicję socjalizmu utopijnego: Socjalizm współczesny, powiada, opiera się nie na dobrej woli lub rozumie ludzi, ale na tendencji nowożytnej uspołecznienia przemysłu. Zamiast fantastycznego projektu doskonałego ustroju społeczeństwa daje realistyczną teorję stopniowego tegoż postępu. Zwraca się z wezwaniem nie do całej ludności, lecz głównie do klasy robotniczej, jako do bezpośrednio zainteresowanej w przeobrażeniu społecznym. Zamiast eksperymentów w miniaturowych gminach socjalistycznych prowadzi zawodową i polityczną organizację klasy robotniczej, aby uzdolnić ją do objęcia steru ekonomicznych i politycznych spraw społeczeństwa, skoro nadejdzie czas przeobrażenia. Oto jasne, trzeźwe i doskonałe określenie czym jest socjalizm, a raczej czym być powinien.

Wśród gmin komunistycznych rozróżnia Hillquit oparte na zasadzie religijnej najliczniejsze i najsilniejsze. Wiele z nich istnieje dziś jeszcze, a głównym ich celem jest wykonywanie swobodne praktyk swej religji. Należą tu Szekierzy, Harmonja, Zoar, Amana, Bethel i Aurora, Oneida i w. in. Zwracały one specjalną uwagę na stosunki moralne swych członków, wprowadzały obok własności wspólnej małżeństwa oparte na poligamji i poliandrji (Perfekcjoniści), spowiedzie publiczne, hierarchję członków. Komunizm jak np. u Szekierów stanowi część integralną religijnego systemu, ogranicza się przecież tylko do jednej rodziny.

Gminy Owenitów uznawały wspólną własność, rozwijać się zdawały bardzo pomyślnie w latach 1825—30, ale okres ich rozkwitu był tak krótkotrwały, że oddawna należą już od przeszłości. Eksperymenty gmin powstających na zasadach doktryny Fouriera, jakkolwiek bardzo liczne i dobrze prowadzone, utrzymały się zaledwie lat kilkanaście po śmierci założyciela. Pod nazwą falang tworzyły one związki przemysłowe, zakładały fabryki, dbały o dobre szkoły dla dzieci, o urozmaicenie życia i pracy członków, ale w myśl teorji Fouriera nie propagowały wspólności majątków, ani wynagrodzenia. Charakterystyczną jest zasada opłacania pracy przyjęta w Fa-

landze północno-amerykańskiej, a sprzeczna z panującymi w ustroju obecnym poglądami. Za pracę niezbędną ale nużącą i przykrą płacono najwięcej, najmniej za zajęcia przyjemne. A zatym wyrabiający cegłę otrzymywali 10 centów za godzinę, rolnicy 8, a lekarz tylko 6¹/₄. Zyski dzielono między kapitał i pracę, przy czym właściciele kapitału pobierali tylko 5 od sta. Gminy ikaryjskie wzorowane na zasadach, głoszonych przez Cabeta rozeszły się z powodu nieporozumień, powstających w łonie zarządu.

Nierówne powodzenie gmin różnorodnych tłumaczy Hillquit różną umiejętnością przystosowania się do środowiska. Gminy religijne składały się przeważnie z niemieckich chłopów, którzy bez skrupułów zrzekali się idei komunizmu, ilekroć okazał się dla nich niewygodnym, przeobrażając się w zwykłe spółki akcyjne. Trwały też po lat 50 i więcej. Natomiast gminy niereligijne stanowiły, przeważnie gromadki idealistów, ludzi różnych zawodów, przyzwyczajeń, nie mających pojęcia o rolnictwie, które w ich warunkach musiało być zajęciem podstawowym. W dążeniu do idealnego społeczeństwa izolowali się od otaczającego świata, a potym tęsknili za życiem szerszym i cywilizacją, do której byli przyzwyczajeni. Rozterki powstawały często, ale przeważnie na tle poglądów teoretycznych, lub zatargów o władzę. Dla drobnych wspólnot zaś, rzuconych jak wysepki na ocean kapitalistycznego ustroju, były one zabójcze. Hillquit jednakże, podobnie jak inni autorowie dzieł o próbach urzeczywistnienia komunizmu, (Nordhoff, Ely, Noyes) zaznaczają, że komuniści byli wogóle bardzo pracowici, uczciwi, spełniali swe prace wytrwale, choć bez gorączkowego pośpiechu, który stanowi cechę obecnej produkcji. Doświadczenie stwierdziło przeto, że przymus i groza nędzy nie są koniecznymi warunkami stałej i sumiennej pracy. Komuniści dochodzili do dobrobytu, odznaczali się zdrowiem i wesołością; obłęd i samobójstwa nie zdarzały się wśród nich nigdy, a wesoły swobodny nastrój panował powszechnie. Gdyby próby komunistyczne rozpatrywać tylko z punktu widzenia psychicznego ich oddziaływania na członków, to przyznać trzeba, że komunizm posiada warunki do uszczęśliwiania ludzkości korzystniejsze, niż system oparty na konkurencyjnej walce.

Właściwy socjalizm przechodzi na ziemi amerykańskiej fazy odpowiadające tym, które przebył w Europie. Zrazu pojawia się wśród Niemców-emigrantów pod wpływem Wilhelma Weitlinga, który od 1849 r. osiedla się w Stanach Zjedn. Autor Gwarancji Wolności i Harmonji oraz Ewangielji Biedaka, entuzjastyczny kaznodzieja i apostoł nowej wiary przeszczepił na grunt amerykański Ogólny Związek robotniczy, a organ jego *Social Republic* starał się nawet stworzyć program polityki bieżącej. W wojnie domowej Stanów północnych z południowymi socjaliści niemieccy biorą udział gromadny, jako gorący zwolennicy abolicjonizmu.

Wpływ Międzynarodówki, która od 1872 r. stałą swą siedzibę przenosi do New-Yorku, dociera już nie tylko do socjalistów cudzoziemców, osiedlonych na terytorjum Stanów, ale oddziaływa także na rdzennie amerykański ruch robotniczy. Pod wpływem Internacjonału powstaje Socjalna partja Nowego Yorku i okolic, która była robotniczą organizacją, opartą na zasadach marksizmu, a za jej przykładem podobne stronnictwa w innych Stanach, a potym Socjalno-Demokratyczna Partja Ameryki Północnej.

Po upadku Internacjonału już w 1877 r. tworzy się Socjalistyczna Partja robotnicza Stanów Zjednoczonych, licząca w początkach 90 proc. Niemców, która się stopniowo amerykanizuje i działa aż dotąd. Założyciele stronnictwa oprzeć się musieli na Związkach Zawodowych, które podobnie jak w Anglji wyprzedziły ruch socjalistyczny. Potężny Zakon rycerzy pracy już w 1893 r. stoi pod wpływem socjalizmu, jakkolwiek programu socjalistycznego nie przyjął dotąd; inne Związki zawodowe masowo przystępują do stronnictwa. W dziejach stronnictwa obok walk i porażek, czy zwycięztw wewnętrznych najważniejsze momenty stanowią walki z anarchizmem, wypełniające lata 1881 — 85 i stosunek do ruchu wywołanego przez Henryka George'a.

Anarchizm w sposób iście drakoński stłumiony przez wyroki sądów amerykańskich, uważany był słusznie za wroga, ponieważ przez jaskrawą swą agitację w szeregach socjalistów stał się siłą. Socjaliści prowadzili robotników ku zwycięztwom drogą rewolucjonizowania umysłów i życia gospodarczego, anarchiści zalecali zamachy i bomby. To też od 1884 r. wyrzeczono się wszelkich prób pojednania, partja socjalistyczna poczęła wzrastać pod względem sił i znaczenia, a kwestja udziału w życiu politycznym występuje coraz częściej. H. George'a socjaliści popierali, widząc w nim przywódcę ruchu, skierowanemu przeciw przewadze kapitału, nigdy jednak nie godzili się na jego teoretyczne stanowisko.

* * *

Dwie partje reprezentują dziś ruch socjalistyczny w Stanach Zjednoczonych: Socjalistyczna Partja Robotnicza i Partja Socjalistyczna. Autor nasz wyraźnie skłania się ku drugiej, która jest liczniejszą i lepiej zorganizowaną. Żadne z tych stronnictw nie dorównywa liczebnością ani siłą socjalnej demokracji Niemiec, ani nawet Austrji. To też ruch robotniczy amerykański pomimo wierności dla programu ustalonego na zasadach marksizmu porównać raczej można z angielskim, aniżeli ze środkowo-europejskim. Organizacje zawodowe i polityka ekonomiczna ściśle robotnicza nadały mu piętno wyraźne i samodzielne, wysuwając na plan naczelny realne interesy dnia, a pozostawiając na uboczu ideologję, która kieruje polityką całej klasy robotniczej pod hasłem marksizmu.

Tłumacz chcąc czytelnikowi uprzytomnić rozwój socjalizmu aż do czasów ostatnich, uzupełnił dzieło Hillquita, tłumaczone z ostatniego wydania (w 1903 r.) programami obu partji, oraz sprawozdaniami na kongresy międzynarodowe, za r. 1907.

Na podstawie programów orzec można, że dążenia Partji socjalistycznej są wyraźniej sformułowane i więcej konkretne od programów środkowo europejskich socjalistów. Zamiast uspołecznienia wszystkich środków produkcji np., które zawsze brzmi zbyt ogólnikowo i daje powód do licznych zarzutów i kwestji, partja żąda uspołecznienia środków przewozu, komunikacji i innych urządzeń publicznych, oraz przedsiębiorstw przemysłowych zmonopolizowanych przez trusty i kartele. Wskazaną jest również droga, na której powstawać mają nowe publiczne przedsiębiorstwa, a mianowicie używając na nie kredytu publicznego, celem zapewnienia robotnikom całkowitego wytworu ich pracy.

Zdołaliśmy zaledwie zaznaczyć wytyczne momenty dziejów amerykańskiego socjalizmu, skreślonego w bardzo zajmujący sposób w książce M. Hillquita, do poznania której czytelników *Prawdy* usilnie zachęcamy. *zdg.*

M. Spatz, Staatsanwalt in Gnesen: **Die Kampforganisationen Neu-Polens.** [1]) München 1910. I. F. Lehmanns Verlag. Str. 78.

Pruski stan urzędniczy w zaborze pruskim staje w pierwszych szeregach hakatystycznych działaczów „na kresach wschodnich". Polityka kolonizacyjna bowiem rządu pruskiego nie zdołała tam jeszcze wytworzyć silnego, zdolnego do samoistnego życia

[1]) Organizacje bojowe nowej Polski.

mieszczaństwa, pomimo iż od dłuższego już szeregu lat nieprzerwanie do celu tego zmierza. Z braku więc samodzielnego, a wpływowego mieszczaństwa niemieckiego w polskich miastach zaboru pruskiego, zachęca rząd stan urzędniczy do brania wydajnego udziału w życiu polityczno-społecznym, a tym samym do zastąpienia nikłych względnie i niewpływowych dzisiejszych warstw niemieckich. Pod tym względem rząd pruski znajduje „naukowe a objektywne" umotywowanie w rozprawie głośnego aczkolwiek niewybitnego profesora berlińskiego L. Bernharda, wydanej w Lipsku w r. 1909 p. n.: „Die Städtepolitik im Gebiet des deutsch-polnischen Nationalitätenkampfes", w której autor omawiając ogólnie dotychczasową politykę miejską na ziemach polskich zaboru pruskiego, nawołuje gorąco urzędników pruskich do brania udziału w niemczeniu miast, zatym do akcji, będącej *par excellence* akcją polityczną.

Inspiracja z góry wywołuje wzmożoną pracę urzędników państwowych w rozmaitych niemiecko-hakatystycznych stowarzyszeniach i organizacjach kresowych; również z tego powodu znajduje stan urzędniczy pruski licznych przedstawicieli i we współczesnej publicystyce pruskiej poświęconej t. z. kwestji polskiej.

Mamy właśnie przed sobą niewielką rozprawkę p. Spatza, prokuratora z Gniezna, tę również kwestję poruszającą. Alarmująco brzmiący nagłówek jest zwykłym demagogicznym środkiem pisarzów z hakatystycznego obozu. „Organizacje bojowe nowej Polski" o których pan prokurator gnieźnieński się rozpisał, to nie konspiracje, o których przy wypełnianiu swoich obowiązków urzędowych się dowiedział, jeno od dawna istniejące, zarejestrowane, działające zgodnie z istniejącymi przepisami i normami kodeksu i konstytucji Rzeszy, polskie organizacje gospodarczo-kulturalne w zaborze pruskim.

Pan prokurator Spatz nie jest już początkującą siłą publicystyczną hakatystycznego obozu, pod koniec ubiegłego roku drukował bowiem dłuższy artykuł w tej samej kwestji w „Deutsche Revue" (zeszyt listopadowy) pod nieco wprawdzie skromniejszym nagłówkiem: „Polnische Organisationen auf deutschem Boden". Artykuł ten dzisiaj nieco rozszerzony, podlany gęsto sensacyjnym sosem, któryby zdołał podrażnić przeciętnego prusaka, zaopatrzony w alarmujący nagłówek, któryby zrazu potrafił przekonać czytelnika, iż wielka ojczyzna niemiecka została zagrożoną w swym istnieniu i rozwoju, wydany został jako oddzielna rozprawa przez stałego wydawcę Związku wszechniemieckiego Lehmann'a w Monachjum.

Właściwą część swojej pracy, poświęconej rozpatrzeniu i scharakteryzowaniu z punktu widzenia sfer wszechniemieckich istniejących polskich organizacji politycznych, gospodarczych i kulturalnych, poprzedza p. Spatz niewielkim wstępem w którym omawia ogólny charakter polskiej polityki w zaborze pruskim. Wedle pana prokuratora gnieźnieńskiego dzisiejsza cała działalność polityczno-społeczna w Poznańskim, Prusach królewskich i na Śląsku, prowadzona pod aż nazbyt wyraźnym znakiem klerykalizmu i politycznego realizmu, jest polityką politycznego i społecznego radykalizmu, wyraźnym stwierdzaniem niepodległościowych aspiracji całego społeczeństwa polskiego w zaborze pruskim. Organizacje polskie o wyłącznie gospodarczym lub kulturalnym charakterze, albo też mające na celu jedynie przeprowadzenie polskiej akcji wyborczej do ciał parlamentarnych Prus i Rzeszy, to przygotowywanie, zdaniem p. Spatza materjalnych podstaw dla przyszłej niezależnej polskiej budowli prawnopaństwowej. Na czele tych organizacji stoi, jak twierdzi autor, Liga narodowa wraz ze Skarbem i Muzeum narodowym. Fakt, iż niektórzy wybitniejsi działacze w zaborze puskim biorą udział w kilku organizacjach, jest dostatecznym dla pana prokuratora dowodem, iż ma się tutaj do czynienia ze ścisłym powiązaniem organizacji i przywódców, iż jest to centralizacja narodowa polska, niejawna a utajona o wrogim dla państwa pruskiego i całych Niemiec nastroju.

Już sam ten ustęp dosadnie świadczy, że p. Spatz zupełnie nie jest w stanie się połapać w wielu zawilszych kwestjach życia zbiorowego w zaborze pruskim, iż wcale nie rozumie ogólnej polityki polskiej w tych stronach naszych, że zaprawdę po prokuratorsku sądzi jeno z drobniejszych cech zewnętrznych, wgłąb natomiast wejrzeć już nie jest w stanie. Te same więc błędy popełnia, kiedy przechodzi do bardziej szczegółowego omówienia polskich organizacji i stowarzyszeń, potęgując je tym jeszcze, iż autor chętnie daje posłuch wszelkim hakatystycznym plotkom, a które na celu mają nadanie tymże wszechpolskiego (allpolnisch) charakteru, co całkowicie koliduje z brzmieniem odpowiednich ustaw pruskiego kodeksu karnego.

Omawiając stan dzisiejszy polskich organizacji wszelkiego rodzaju p. Spatz zwraca główną uwagę na ich koncentracyjny rozwój oraz ze wszystkich sił swoich stara się wykryć łączność pomiędzy nimi a takimiż w innych zaborach oraz na emigracji. Stąd też pochodzi całkowicie płytka charakterystyka zrzeszeń polskich w książce Spatza zawarta, nie oddaje ona zupełnie ani tendencji nurtujących w spółkach, stowarzyszeniach i t. p. organizacjach polskich, ani też nie przedstawia głębiej prawdziwych celów, jakie organizacje te osiągnąć zamierzają, Publicyści pruscy w rodzaju p. Spatza widzą w każdej organizacji polskiej siłę wrogą dla państwa i z tego punktu rzecz całą traktować jeno potrafią i muszą. To też czy autor mówi o centralnych ciałach wyborczych, czy też o Sokole lub Towarzystwie bibljotek ludowych, czy traktuje o stowarzyszeniach księży, kobiet lub młodzieży wszędzie i zawsze znajduje w nich poważne niebezpieczeństwo dla istnienia i rozwoju państwa pruskiego, upatrując w nich oddziały, na zabór pruski, potężnych ogólno-polskich organizacji.

Rozprawa Spatza świadczy, że sfery urzędowe pruskie bacznie śledzą za biegiem życia polityczno-społecznego nietylko w innych zaborach ale również i na europejskiej oraz amerykańskiej emigracji. W omawianej książeczce pełno bowiem szczegółów z życia polskiego w Królestwie Polskim, Galicji, kolonjach europejskich oraz Polonji amerykańskiej.Spatz prawdopodobnie wiadomości te czerpał z biuletynów centralnego biura policyjnego w Berlinie, które co pewien czas są rozsyłane funkcjonarjuszom państwowym dla informacji i orjentacji. Zawiera pozatym książeczka Spatza parę drobniejszych informacji o stanie organizacji polskich w zaborze pruskim, jakie jeno są w posiadaniu władz pruskich.

Rozprawa Spatza, dopasowana całkiem co do tonu i objektywności do innych wydawnictw Związku wszechniemieckiego dla polskiego czytelnika tym bardziej jest ciekawą, iż wyszła z pod pióra wyższego urzędnika państwowego, członka prokuratorji, który winien stać ponad namiętnościami i walkami polityczno-narodowymi. Z książeczki zaś omówionej wynika, że jest wprost przeciwnie, co służy jeszcze jednym dowodem, iż stan urzędniczy pruski dalekim bardzo jest od tych elementarnych wymogów.

J. F.

Prof. Ad. Czerny: **Lekarz jako wychowawca dziecka**. Przetłumaczył z drugiego wydania Dr. A. Mamrot. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka 910. str. 70.

Programy wychowawcze, operujące wskazaniami religji, etyki społecznej, pedagogiki, uwzględniającej tylko duchowy rozwój dziecka, jako jednostronne, wykazały już swą szkodliwość. W wychowaniu, obejmu-

jącym wszechstronny rozwój dziecka — rozwój duchowy z równomiernym rozwojem podłoża organicznego, rola lekarza, uzbrojonego w niezbędną wiedzę fachową stała się naczelną. Nie mówiąc już o możliwych zboczeniach w rozwoju, nawet przeciętnie normalne dziecko przeżywa w swym rozwoju okresy wahań, wobec których wychowawcy, nauczyciele, nieposiadający specjalnego wykształcenia, a zdając sobie sprawę z ciążącej na nich odpowiedzialności za wyniki powierzonej im pracy, stają bezradni i zmuszeni są zwracać się po radę do lekarza. Lekarz jedynie dzięki fachowej swej wiedzy jest powołany do czuwania nad ogólnym rozwojem dziecka, do prostowania utartych przesądów, poprawiania błędów, spełnianych przez nieuświadomionych odpowiednio wychowawców. Do tej jednak roli, jak słusznie zaznacza pr. Czerny, nie upoważnia samo wykształcenie lekarskie, przy obecnym systemie wykładania medycyny, polegającym głównie na zaznajomieniu z fizjologią i patologją, traktującym szeroki dział higjeny dziecięcej, szkolnej pobieżnie, pomiędzy innymi; nie obejmującym pedagogiki, traktującym psychjatrję bez psychologji — byłoby co najmniej naiwnym wymagać tego od przeciętnego lekarza, wykwalifikowanego, w szczególności w stosunku do dzieci, tylko na lekarza dolegliwości i chorób cielesnych.

Lekarz obecny przez fachowe wykształcenie zdobywa fundament, to minimum wiedzy, niezbędne do dalszej pracy, by mógł się stać lekarzem - wychowawcą. Ze względu na te braki i powagę zadania być może niedaleka przyszłość, reformując sposób wykładania wiedzy lekarskiej, uzna konieczność utworzenia specjalnego wydziału dla przyszłych lekarzy-wychowawców.

Praca pr. Czerny'ego wykazuje zakres, doniosłość działalności lekarza na tym stanowisku. Pr. Czerny, szkicując z dużą spostrzegawczością błędy, spełnione w wychowaniu dziecka, podsuwa rady, wskazówki, nacechowane gruntowną wiedzą; rady, przystosowane do przeciętnych warunków życiowych, uwzględnia jednak warunki rzadsze, wyjątkowe. Jako taki, poradnik ten gorąco polecić można rodzicom. Przekład staranny i poprawny.

W. G.

LITERATURA i SZTUKA.

Bronisława Ostrowska: **Chusty ofiarne.** Warszawa 1910. J. Mortkowicz.

Jest twórczość Ostrowskiej jak pogodne, nieupalne lato. Jest dosyć słońca i dosyć cieniów od dużych chmur, które przepływają czasem, jak olbrzymie łodzie ładowne smutkiem i zakrywają twarz słońca. Są łąki olśniewające od blasków i zadumane aleje - tęsknoty. Tylko wygnane zostały do krain lodowej zimy zgroza i szał.

Żywioł tu iście słowiański, bez demonizmu, bez otchłani, bez załamań zgryźliwego rozumu. W pieśniach nadziei i w pieśniach rozpaczy, w słoneczne południa i w burzliwą ulewę zawsze idzie z Ostrowską smuga wielkiego ukojenia. Skąd to, skąd?

Z życiem się duszo zgódź,
Z śmiercią się duszo zgódź.

Kto się zgadza, kto „chłonie szczęśliwość z jedności przedwiecznej kielicha", w tym łamią się ciernie i tępieją ostrza. A spiczaste cyple rozsypują się w miękki piasek, podłoże dla kwietnych baśni.

Pod znakiem słońca zaczynają rodzić się w Polsce pieśni. Staff i pokrewna mu w niejednym Ostrowska wypływają z jakichś zapadłych komyszy na szerokie jezioro, bardzo przezroczyste i jasne. Lemański drwiąc niewesoło, powstaje przeciw kultowi tragizmu. Ponurym przywidzeniom losów i przeznaczeń przeciwstawia się samorzutne, jasne budownictwo życia od wewnątrz, opanowywanie buntowniczych pierwiastków życia jasnowidzeniem i pięknem.

Lecz u Staffa i u Ostrowskiej jest powab przeżyć poszczególnych, kult piękny momentów, nastroje dobra. Niema jednolitej prawdy i jednolitego dobra. Ukochali oni wielość przeżyć indywidualnych, z których każde zaokrąglone w sobie trwa bytem odrębnym. Nie wykreślili jednej, surowej linji życia. Jeszcze poetę uprawnia kaprys beztroskiego włóczęgi. Prędko zechce on wziąć do ręki bardon przewodnika i druida.

Jeżeli piękno wyodrębnione z całokształtu zjawisk ma samoistne, ekstatyczne znaczenie, to Ostrowska dała dosyć i więcej żądać nie można. Bogactwo nadzwyczajne formy, niebywała muzyczność wiersza każą po przeczytaniu zawołać: oto kunszt! Kołysząc się na śpiewnych falach wiersza, przebywamy wszystkie etapy bogatej i wrażliwej duszy współczesnej. Oto ciężkie zacietrzewienie w pracy, w trudzie nizinnym, które nie pozwala dostrzec ani wesołych wiosek za sobą, ani głębi oceanu przed sobą. Oto okrzyk mocnego macierzyństwa, które woła do stworzonego przez się życia: już odlotów się twoich nie boję! Oto smutne, ofiarne chusty Weroniki na krzyżu, „nadaremnej ofiary żywota zszarzały łach". Oto marmurowe stopnie „Zadumy" po których się wchodzi ku „cichej pewności wieczystych odrodzin"... I w „Ocknieniu" wielka współczesna tęsknota ku „niezmierzonej łasce cudu", musnięcie skrzydeł jasnego anioła, który oddawna po raz pierwszy na świat schodzi...

Pojednanie najwyższe, rozwiązanie wszelkich zgrzytów w jednej słowiańskiej, rozlewnej harmonji jest w tanie krasopani Dziedzilji. Zatłumiony przez klasyczne i obce współczesne wpływy tryska prawie nieświadomie żywioł słowiański, anielstwo pszczelne i miodne...

Savitri.

KRONIKA.

OTWARCIE WYSTAWY MATEJKOWSKIEJ. Dn. 4 czerwca w salonach Towarzystwa Zachęty otwarto wystawę cyklu 12 obrazów Jana Matejki, p. t.: „Szkice do dziejów cywilizacji w Polsce".

Cykl ten zawiera następujące utwory: „Zaprowadzenie chrześcijaństwa", „Koronacja pierwszego króla", „Przyjęcie żydów", „W Łęczycy pierwszy sejm", „Spisanie praw, ukrócenie rozbojów", „Klęska Lignicka", „Odrodzenie", „Powtórne zajęcie Rusi", „Bogactwo i oświata", „Założenie szkoły głównej przeniesieniem do Krakowa ugruntowane", „Chrzest Litwy", „Wpływ uniwersytetu na kraj w wieku XV", „Złoty wiek literatury w wieku XVI", „Potęga Rzeczypospolitej u zenitu", „Konstytucja 3 maja".

Nadto otwarto w gmachu Zachęty następujące wystawy: akwafort Feliksa Jasieńskiego, rzeźb Tolli Certowiczówny, akwarel Wł. Skoczylasa, obrazów Z. Ćwiklińskiego i M. Trzebińskiego, oraz szereg pojedyńczych prac licznych artystów.

W TOWARZYSTWIE KULTURY POLSKIEJ uczczono zbiorowym wieczorem odczytowym pamięć Orzeszkowej. P. Jan Muszkat rozpatrując działalność pisarki w perspektywie śmierci kiedy zerwano już żywe ze społeczeństwem nici widzi w niej więcej społeczniczkę niż artystkę, której utwory być może jako dzieła sztuki zbledną

z chwilą zmilknięcia aktualnych ich haseł, społeczna jednak zasada „miłością i pracą" — wiecznie pozostanie świeżą.

P. Julja Dicksteinówna patrzy na Orzeszkową jako na pionierkę równouprawnienia kobiet których działalność i aspiracje nowej już obecnie wymagają nadbudowy. Podniosła jednak ona i uświadomiła kobietę a my ją musimy wyzwolić.

P. Stefan Gacki występuje przeciwko tym partyjnym organom prasy naszej, które po zgonie Orzeszkowej wykazały pewną zaborczość względem zmarłej działaczki, imputując jej myśli i ideje, do których ona zapewne by się nie przyznała, i tym sposobem wykazując przynależność jej do swego obozu.

Charakteryzując następnie epokę jej działalności porównywa ją z okresem obecnej represji, — wyrażając jednak nadzieję, że jeżeli indywidualność Orzeszkowej nie została wessaną przez ówczesne reakcyjne wpływy to i obecne powrotne ich fale nie pochłoną naszych postępowych i wyzwoleńczych dążeń.

TOWARZYSTWO CUKROWNIKÓW podczas swych trzydniowych obrad, poza szczegółami interesującymi specjalistów dało nam w odczycie p. Godlewskiego nadzieję, że może za lat dwa będziemy tańszy mieli cukier — gdyż wszechświatowe zapasy powiększą się przez ten czas, technika się ulepszy i obszar plantacji rozszerzy. Prelegient zachęcał też cukrowników, aby korzystając sami z lepszej obecnie sytuacji rynkowej pomyśleli też i o polepszeniu bytu pracowników, których warunki życiowe wiele pozostawiają do życzenia.

SPRAWOZDANIE TOW. HYGJENY PRAKTYCZNEJ IM. BOLESŁAWA PRUSA za czas od 1 grudnia 1908 r. do 31 grudnia 1909 r.

Pomimo, iż towarzystwo to liczy szósty rok istnienia i ze wszech miar zasługuje na gorące poparcie społeczeństwa, a choć składka członkowska wynosi tylko *jednego rubla*, towarzystwo liczy jednak zaledwie 1500 członków. Nadesłane sprawozdanie obejmuje historje powstania towarzystwa i całkowity obraz jego rozwoju.

W roku sprawozdawczym towarzystwo rozdało 8000 upominków, złożonych z mydła i przepisów czystości w nowym wydaniu, z obrazkiem i z dodaniem bądź dwu chustek do nosa, bądź grzebienia, szczoteczki do rąk lub do zębów. Towarzystwo opracowało, wydało i rozesłało w tysiącach egzemplarzy „Rady i wskazówki utrzymania w czystości domów" i „Rady i wskazówki utrzymania w czystości mieszkań".

Akcja udostępnienia kąpieli dla dzieci nie powiodła się. Koroną działalności Towarzystwa była urządzona staraniem i pracą jego wystawa „Czystość to zdrowie", celem której było pokazać poglądowo, jak mają być tanio i hygienicznie urządzone mieszkania, oraz jak zgubne są skutki niechlujstwa. Głównym celem Towarzystwa jest uświadomienie szerokich warstw o potrzebie czystości i sprawa jej rozpowszechnienia.

Towarzystwo rozwija się stale.

SPRAWOZDANIE Z DZIAŁALNOŚCI WYDZIAŁU WYSZUKIWANIA PRACY W. T. D. za rok 1909. Wydział istnieje rok szósty i składa się z dwu sekcji: 1) Biura pośrednictwa Pracy (Kopernika 8) i 2) Sekcja opieki i pomocy (Św. Barbary 12). Biuro pośrednictw Pracy dostarczyło zajęcia 2966 osobom. Sekcja opieki i pomocy wykazała działalność nader słabiutką, mianowicie dała pracę 217 osobom, udzieliła zapomóg (na kupno maszyn, kupno i reperację narzędzi, kaucję, wykup z lombardu) 53 osobom na sumę rb. 536! wydała pożyczek pięciu osobom na sumę 420 rb., na obiady udzieliła bonów za 65 rb. i na pomoc w nauce wydała 78 rb. 70 kop. Szycie bielizny dla wojska zatrudniało 100 osób, biorących bieliznę do szycia.

„EKONOMISTA". Ekonomista ukazujący się pod redakcją p. Stefana Dziewulskiego, świeżo wydał drugi tom kwartalny zamykający sobą drugi kwartał r. b. Zwiększone rozmiary kwartalnika obejmują następujący szereg prac: D-r Zofja Daszyńska-Golińska podaje najnowszą swą pracę z zakresu badań nad zagadnieniem ludności w świetle teorji. Poseł Władysław Grabski ogłasza nadzwyczaj sumienne i interesujące cały nasz ogół studjum statystyczne, dotyczące rolnictwa w Królestwie Polskim, w zestawieniu ze statystyką rolniczą, do tyczącą różnych dzielnic Państwa Rosyjskiego. D-r Zygmunt Gargas zamieszcza wyczerpujące dane, dotyczące organizacji handlu zewnętrznego Galicji. O zagadnieniach emigracyjnych pisze p. Wojciech Szukiewicz. Nader interesujące obliczenia ludności polskiej podaje p. W. Zwoliński. W dziale Miscellanca znajdujemy przyczynek do zależności mistrzów krzyżackich i książąt pruskich od królów polskich oraz uwagi dotyczące bezrolnych i majoratów.

Bogata kronika wyjaśnia następujące sprawy bieżące: Głód cukrowy. Handel zagraniczny Rosji w 1909 r. Robotniczy ruch zawodowy. Sprawozdania z działalności biura emigracyjnego dla emigrantów żydów w Warszawie w 1909 r. Kronika współdzielcza. Bank Towarzystw współdzielczych. Związek Towarzystw kredytowych. Centralny Bank Towarzystw Wzajemnego kredytu. Obszerny dział rozbiorów i sprawozdań.

Dział Bibljografji zamyka obfitą treść kwartalnika.

OFIARY.

Na szkołę w Kruszynku: od grona Polaków z Charbina 10 rb.

Książki nadesłane do Redakcji:

— Materjały do dziejów Komisji Rządzącej (Prace Tow. Naukowego Warszawskiego Nr. 1 komisja historyczna). Wydał Henryk Konic z przedmową Wł. Smoleńskiego. Nakładem Tow. Nauk. Warsz Skł. Gł. E. Wende i S-ka. Warszawa 1910.

— Materjały do dziejów wsi Polskiej (Prace Tow. Naukowego Warszawskiego Nr. 2. Komisja historyczna). Wydał Ign. Tad. Baranowski Zeszyt 1-szy. Nakładem Tow. Nauk. Warsz. Skł. główny E. Wende i S-ka. Warszawa 1910.

— Tadeusz Grabowski: „Juljusz Słowacki". Jego żywot i dzieła na tle współczesnej epoki. Tom pierwszy. Kraków. Skł. gł. G. Gebethner i S ka 1909.

— Zygmunt Michałowski: „Bębniarz". Z przedmową Zdzisława Dębickiego. Warszawa 1910. Nakład Jana Fiszera.

— „Lekarz jako wychowawca dziecka". Odczyty Prof. Ad. Czerny'ego. Z upoważnienia autora przetł. z drugiego wydania D-r A. Mamrot. Warszawa Skł. gł. E. Wende i S ka. 1910.

— Bezimienny: „Pieśń Uwodziciela". Powieść. („Nowości literackie" tom XXXIII. Warszawa — 1910 — Lwów. Nakł. księg. St. Sadowskiego.

— A. Kalla: „On i Oni Wszyscy". Powieść. Warszawa 1910. Skł. Gł. E. Wende i S-ka.

— M. Heilpern: „Balony i aeroplany". Wykład popularny głównych zasad aeronautyki i awiatyki. Ze 100 rysunkami w tekście. Wyd. M. Arcta w Warszawie. 1910.

— M. Heilpern: „Co to są komety i czym one nam grożą" Z 25 rysunkami w tekście. Wyd. M. Arcta w Warszawie. 1910.

— Oswald Balzer: „Jeszcze o punktach spornych pisowni polskiej". Lwów. Nakładem autora. 1910.

— Maciej Kożuch: „Dzieci niedoli". Z przedmową Janusza Korczaka. Wilno 1910. Nakładem „Wiedzy".

— Roman Jaworski: „Historje manjaków". Spółka nakładowa „Książka". Kraków.

— M. Gawalewicz: „Gąbka". (Opowieść ze wspomnień redakcyjnych). Nakł. M. Arcta w Warszawie. 1910.

— Adam Pierzchnicki: „Tajemnice Warszawy". Powieść na tle wypadków z lat ostatnich, z ilustracjami. Trzy tomy. Warszawa. Nakładem „Taniej Bibljoteki".

Prenumerata „Prawdy" (wraz z bezpłatnym dodatkiem): **W Warszawie**: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu. **Z przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50** rocznie rb. **10**.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Ludzie i stronnictwa, przez I. Moszczeńską. — ODCINEK: Remy de Gourmont Kultura idej — Tydzień polityczny. — Listy z Galicji, przez Ludwika Kulczyckiego. — NA DOBIE: Tajemnicza ręka, przez L. G. — Dokoła encykliki, przez L. G. — Samorząd u rogatek Warszawy, przez M. — Echa polityki dworskiej, przez M. — Konfiskata, przez S. S. — BADANIA NAUKOWE: Pochodzenie człowieka z punku widzenia badań doświadczalnych, przez K. Stołyhwę. (Dok.) — Socjalizm na gruncie Ameryki, przez zdg. — M. Spatz, Staatsanwalt in Gnesen: „Die Kampforganisationen Neu-Polens", przez J. F. — Prof. Ad. Czerny: „Lekarz jako wychowawca dziecka", przez W. G. — LITERATURA I SZTUKA: Bronisława Ostrowska: „Chusty ofiarne", przez Savitri. — Kronika. — Ofiary. — Książki nadesłane do Redakcji. — OGŁOSZENIA.

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.